POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień | Dnia 22-go stycznia 1944r. | Rok VI. Nr. 3

WIELKA PRÓBA

Znajdujemy się w tej fazie wojny, kiedy to momenty polityczne nabierają tego samego znaczenia, co czysto militarne, ba, zaczynają nad tymi ostatnimi brać górę. Coraz większe znaczenie mają t.zw. "cele wojny."

Doskonale obserwujemy to na własnej skórze. Nie jest bowiem żadną z naszej strony megalomanią narodową, gdy stwierdzimy, że Polska, stosunek do sprawy polskiej, nabiera całkiem wyjątkowego znaczenia.

Jak bardzo stosunek do sprawy polskiej jest sprawdzianem dla wszystkich, najlepszego dowodu dostarcza słuchanie europejskich stacji radiowych, znajdujących się obecnie pod kontrolą Goebbelsa. Dzień w dzień grzmią one wciąż to samo, powtarzając o rzekomym zdradzeniu Polski i sprawy polskiej przez Aliantów. Widocznie Goebbelsowi bardzo musi zależeć na tym, by wpoić w dziesiątki milonów słuchaczy europejskich przekonanie, że wiążąc się sojuszem z Wielką Brytanią na wiosnę 1939 roku Polska zrobiła fałszywy wybór. Widocznie ta gra warta jest świeczki . . . Widocznie Goebbels sądzi, iż to jest ostatni argument, który może rzucić Europę w ramiona niemieckie.

Jak się rzecz ma naprawdę? Wielu z moich rodaków czytając te czy inne artykuły, pojawiające się — coraz częściej — w rozmaitych dziennikach brytyjskich, niebardzo wie, co o tym wszystkim sądzić? Co to ma znaczyć ? Wydaje mi się, że warto będzie poświęcić kilka chwil i nieco pomówić o tych sprawach. By zaś je lepiej zrozumieć należy cofnąć się o trzy lata.

Równo trzy lata temu wsłuchiwaliśmy się codzień w nowe nazwy miejscowości zdobytych w Cyrenaice przez zwycięskie wojska armii gen. Wavell'a. Ale ten kto umiał oderwać się od tego — jedynego — jasnego promienia i kto patrzał dalej, widział horyzont wojenny zasnuty ciężkimi chmurami. Miasta W. Brytanii znajdowały się w ogniu ciągłych ataków lotnictwa bombowego *Luftwaffe*, groźba inwazji tej wyspy, ostatniego bastionu walki przeciwko najazdowi niemieckiemu, była wciąż tragicznie aktualna. A dalej jeśli wybiegało się myślą w przyszłość, to znalezienie odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób uda się osiągnąć zwycięstwo?, wydawało się wprost niepodobieństwem. Ludzie odpowiedzialni za politykę W. Brytanii widzieli to jasno. Społeczeństwo tutejsze odczuwało to podświadomie. I w tym momencie spadła wiadomość o ataku Hitlera na Rosję.

Od tego dnia minęło już, przeszło, dwa i pół roku. Ponad tysiąc dni wypełnionych zabijaniem Niemców przez Rosjan... To jest *najważniejszy fakt* obecnej wojny. I to stało się dla polityki brytyjskiej podstawową wytyczną. Trzeba było zrobić wszystko, by ten wielki atut, który los szczęśliwie zesłał, nie wymknął się z ręki. To też dla każdego polityka brytyjskiego największą obawę stanowiła myśl o możliwości odrębnego pokoju pomiędzy Rosją a Niemcami. Należało więc tak grać by do tego nie dopuścić. Tym tłumaczy się wszystko. M. in. też i cała polityka niemówienia niczego co by mogło być dla Rosji niemiłe. Bo — w opinii przeciętnego Brytyjczyka — Rosja składa obecnie tak wielką ofiarę na ołtarzu Zjednoczonych Narodów, ponosi tak ciężkie rany, iż należy dodawać jej najwięcej sił, otuchy.

Słyszę już w tej chwili uwagę Czytelnika: "Ale czyż *tylko Rosja* krwawiła w ubiegłych latach wojny? Czyż nie walczyły — równie bohatersko i wspaniale, a w niepomiernie gorszych warunkach —ludy Polski, Jugosławii, Norwegii czy Grecji?" Tak jest, drogi Czytelniku, masz świętą rację, tylko, że *gros* ciężaru ataku niemieckiego znosiła na sobie Rosja. I, że to ona zadawała w tych latach najboleśniejsze straty niemieckiej machinie wojennej. Tego żaden uczciwy obserwator nie może pominąć. Ofiara Rosji była ogromna. Piszemy "była," gdyż jej ciężar gatunkowy w latach 1941 i 1942 był *niepomiernie większy*, niż np. już w roku 1944. Rosja dała bowiem państwom anglosaskim czas na stworzenie, wyekwipowanie i przeszkolenie olbrzymich armii, które zadecydują o ostatecznym zwycięstwie.

Trzeba pamiętać, iż na dnie myśli każdego Brytyjczyka tkwi pewien "kompleks gorszości" wobec Rosji. Tłumaczy on się tym, iż podczas gdy Rosja ma w boju z Rzeszą w Europie 300 dywizyj, to państwa anglo-saskie mają ich obecnie zaledwie 30 czy 20. Wiem, jestem zupełnie pewny że z chwilą gdy na kontynencie walczyć będzie z Niemcami nie 20, a 200 dywizyj anglo-saskich, ten "*inferiority complex*" zniknie!

Ale dzisiaj gra jeszcze rolę niesłychanie doniosłą. I wpływa w bardzo znacznym stopniu na kształtowanie się opinii publicznej. Niewątpliwie, iż znaczną rolę grą również niezmiernie zręcznie prowadzona propaganda sowiecka, lecz najważniejszą pozycję w kształtowaniu się opinii stanowią zwycięstwa Czerwonej Armii. Komunikaty wojenne z Moskwy /pisane i układane zresztą przez starych speców od propagandy/ oto najważniejszy atut Rosji.

Fakt zbliżania się Czerwonej Armii do wschodnich granic Rzeczypospolitej zaktualizował sprawę pretensji rosyjskich do ponad połowy /dokładnie mówiąc 51%/ obszaru Państwa Polskiego. Kampanię prasową podsyciło oświadczenie ogłoszone przez rząd Rzeczypospolitej, ujmujące stanowisko Polski i rzekomo kompromisowe propozycje sowieckie, wysunięte wprzód przez *Observera*.

Każdy myślący Polak musi pragnąć trwałego pojednania między narodem polskim a rosyjskim. Takiego pojednania, które miałoby wartość na całe pokolenia. Ale żaden Polak nie może uznać takiego "kompromisu," jaki chciał nam podyktować artykuł *Observera*, za podstawę rzeczywistego pojednania. Pojednania nie można budować na aktach dokonanych przemocą i na krzywdzie.

Zastanówmy się jednak, co mogą oznaczać rosyjskie żądania terytorialne wobec Polski? Jaki jest ich właściwy sens? Czy są one celem same w sobie, czy też może stanowią tylko środek do osiągnięcia dalszego celu?

Dzisiaj wiemy już doskonale, jaki cel miały żądania terytorialne wysunięte wobec Polski, przed pięciu laty, przez jej zachodniego sąsiada. Były one pretekstem mającym torować drogę pochodowi imperializmu niemieckiego na Wschód. "Korytarz" pomorski był barierą na szlaku do Moskwy. Warszawa była pierwszym bastionem, który dopomógł w obronie Kremla. I była ona bastionem świadomym.

Bo wszak warto sobie przypomnieć /może właśnie dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek!/, że bardzo łatwo mogła nim nie być. Gdyby tylko nie chciała! Nie chcemy nikogo urazić, ale symbole mówią zwykle wyraźniej, niż długie wywody. Zamek Królewski w Warszawie leży w gruzach, gdy np. Hradczyn stoi nietknięty!

Czegóż może Rosja szukać we wschodnich województwach Rzeczypospolitej? Ochrony strategicznej? Ale przecież miała ona ten obszar pod swoją okupacją przez blisko dwa lata, bo od 17 września 1939 do 22 czerwca 1941. Miała więc dosyć czasu na stworzenie silnej obrony. I cóż się okazało? Oto, iż w *sześć* dni po rozpoczęciu swej ofensywy, bo już 28 czerwca 1941, wojska niemieckie znalazły się na wschodniej granicy Polski.

Może więc cierpi Rosja na przeludnienie, potrzebuje nowego "*Lebensraum'u*"? Wydaje mi się, że z tego punktu widzenia nie można argumentować, zwłaszcza gdy mowa o państwie zajmującym 1/7 część globu ziemskiego!

Więc o cóż chodzi? O "wyzwolenie" Ukraińców lub Białorusinów? Ależ oni *nigdy* nie mówili, iż pragną znaleźć się pod panowaniem sowieckim. Nie pragnę przez to bynajmniej powiedzieć, że nie mieli zastrzeżeń co do polityki mniejszościowej Państwa Polskiego. Ale żaden z nich nie wysunął *nigdy* postulatu przyłączenia do Rosji Sowieckiej. To też warto dzisiaj przypomnieć. A zresztą operując tym argumentem Rosja Sowiecka mogłaby z równym powodzeniem wysunąć pretensje terytorialne do. . . . Kanady, gdzie przecież mniejszość ukraińska jest znakomicie reprezentowana.

Widzimy więc, iż przy spokojnym rozważeniu, żaden z powyższych argumentów nie wytrzymuje ani przez chwilę krytyki. Pozostaje tylko jedno przypuszczenie a to, że pretensje sowieckie do połowy terytorium Polski mogą być przejawem rozbudzonego neo-imperializmu rosyjskiego. I tutaj dochodzimy do sedna naszych rozważań. Jeśli pretensje terytorialne sowieckie są następstwem odrodzenia imperializmu rosyjskiego, rozbudzonego zwycięstwami Czerwonej Armii, to pociąga to za sobą szereg następstw, nader smutnych nie tylko dla Polski, lecz i dla całej Europy. Gdyż w takim razie nikt rozsądny nie uwierzy, by Rosji szło *tylko* o wschodnią Polskę. Czy Lwów i Wilno nie są raczej "wschodnimi Sudetami"? Czy kapitulacja świata zachodniego wobec żądań rosyjskich do wschodniej Polski, nie będzie przez opinię całej Europy przyjęta inaczej jak tylko jako "wschodnie Monachium"? I konsekwencje takiego kroku politycznego nie mogą być inne, niż przed pięciu laty. Podświadomie rozumieją to wszyscy, ale niestety zbyt mało jest cywilnej odwagi, by zdecydowano się powiedzieć to głośno publicznie, by ostrzec przed następstwami. Zostanie to zrobionę, gdy będzie zbyt późno.

Gra toczy się dalej. Gra o stawkę najwyższą, dla nas Polaków najcenniejszą. Za którą każdy z nas, jeśli los tak każe, odda swe życie. Droga nasza jest jasna i prosta. Nie ma miejsca na wahania czy "orientacje." Bijemy się z Niemcami, bijemy się najdłużej i będziemy się bić do końca. Nigdy nie byliśmy tak zjednoczeni, nie stanowiliśmy jednej tak zbratanej rodziny, jak właśnie dzisiaj. Ci, który liczą na rozbicie nas, mylą się haniebnie. Idzie na nas wielka próba — nie pierwszy zresztą raz w naszych dziejach. Okażemy się godni tego wspaniałego przykładu, jaki — od czterech i pół lat — daje nam Kraj. Okażemy się godni duchów naszych braci poległych na polu walki, lub zakatowanych na śmierć w niemieckich obozach koncentracyjnych. I będziemy pamiętać, że sprawa o nasze granice toczy się w sumieniu narodów, że każdy nasz lotnik, bijący w miasta niemieckie czy w "Heinkle" i "Messerschmitty," każdy nasz marynarz, topiący niemieckie okręty, każdy nasz żołnierz biorący odwet na wrogu za wrzesień i za późniejsze zbrodnie, walczą nie tylko o Warszawę i Kraków, o Poznań i Gdynię i Gdańsk, ale zarazem Wilno i Lwów, o to, co nam najdroższe na Wschodzie.

Mówią nam, że jesteśmy "landlordami," arystokratami. Pokażemy — jeszcze raz — światu, że mamy mocne, zdrowe, chłopskie nerwy. I że wytrwale, nieugięcie zdążać będziemy starym szlakiem ojców do tego samego celu: Wolnej, Zjednoczonej. A wtedy — z pomocą Bożą i pod przemożną opieką Królowej Korony Polskiej — przejdziemy szczęśliwie tę jeszcze jedną, wielką, ciężką próbę, jaką los nas obecnie doświadcza.

STEFAN ŻUROWSKI

PO TYGODNIU

Wypadki biegną z oszałamiającą szybkością. Od chwili, gdy równo przed tygodniem komentowaliśmy na tym miejscu dwie wypowiedzi polskie, wywołane faktem przekroczenia granic Rzeczypospolitej przez wojska rosyjskie, nastąpiły po sobie w krótkich odstępach czasu: oświadczenie rządu sowieckiego z dnia 11-go stycznia, odpowiedź rządu polskiego z dnia 14-go i odpowiedź sowiecka na tę odpowiedź z dnia 17-go.

Bezstronny czytelnik tych wszystkich dokumentów łatwo dostrzeże, iż są pisane jakby dwoma różnymi językami. Enuncjacje polskie znamionuje najwyższe umiarkowanie, odpowiedzialne ważenie słów, niejako wczuwanie się w reakcję strony przeciwnej. Wypowiedzi sowieckie cechuje nieopanowana agresywność. Ile razy podnosi się głos polski, stanowi on próbę usunięcia jakiejś zapory. Każde odezwanie się sowieckie jest podniesieniem nowej kwestii spornej, nowej pretensji. Polacy usiłują myśleć konstruktywnie w ramach wielkiej całości, w obrębie wielkiego procesu dziejoweao, toczącej się, nieskończonej i dalekiej jeszcze od skończenia wojny przeciw Niemcom. Kierownicy rządu sowieckiego widzą tylko zagadnienie partykularne i stawiają je w taki sposób, jakby rzecz nie toczyła się w obrębie jednego sojuszniczego obozu i nie w czasie wojny, ale w układzie i okolicznościach zgoła innych. Wbrew rozpowszechnianym, zwłaszcza tu w Anglii i chyba komuś dogadzającym opiniom, w całej ostatniej fazie sporu właśnie my nie jesteśmy ani trochę "romantic," nie działamy pod wpływem impulsów. Natomiast ton i styl wypowiedzi rosyjskich jest jakby pod przemożnym naciskiem afektu, bo czymże innym, jeśli nie namiętnością można wyjaśnić polemiczny, zaczepny, wyzywający charakter niektórych partii obu "upoważnionych" oświadczeń Tass'a?

Żeby nie być gołosłownym przypomnijmy główne punkty oświadczeń obu stron.

W pierwszej deklaracji rząd polski stwierdził konieczność uzgodnienia działań wkraczających na nasze ziemie armii czerwonych z akcją polskiej Armii Krajowej; może to mieć jedynie miejsce w przypadku, gdy między obu państwami, wchodzącymi w skład jednego walczącego zespołu będą istniały normalne stosunki międzynarodowe. Ta intencja jest z punktu widzenia interesów Polski, Sowietów i wszystkich narodów zjednoczonych bezsporna. Nie ulegała ona wątpliwości nawet dla najbardziej uprzedzonych i stronnych komentatorów naszego pierwszego oświadczenia.

Na tę propozycję rząd sowiecki odpowiada oświadczeniem, w którym nie ma ani słowa na temat tego żywotnego, wspólnego, zasadniczego zagadnienia współpracy. Jest natomiast wysunięte na plan pierwszy zagadnienie przesunięcia granicy polsko-sowieckiej z linii ustalonej w Traktacie Ryskim, przyjętej dobrowolnie i szanowanej przez oba sąsiadujące państwa przez lat blisko dwadzieścia — na linię Curzona, którą w roku 1920 rząd sowiecki sam dwukrotnie w notach do rządu brytyjskiego odrzucił, jako dla nas niesprawiedliwą.

Również wobec takiego postawienia sprawy polskie czynniki kierownicze zdobyły się na decyzję niełatwą, ale z ogólnego, sojuszniczego punktu widzenia bezwątpienia konstruktywną. W oświadczeniu z dnia 14 bm. zaproponowały dyskutowanie w s z y s t k i c h spornych problemów, a więc i problemu granicznego, podniesionego w deklaracji sowieckiej, zastrzegając się tylko przeciw "jednostronnym decyzjom czy faktom dokonanym, które miały lub mogłyby mieć miejsce na terytorium Rzeczypospolitej Polskiej."

Na to, już w 48 godzin, zjawiło się drugie oświadczenie Tassa, odrzucające brutalnie polską wolę porozumienia. Wrócił w nim natomiast prowokacyjny zarzut rzekomego współdziałania propagandowego z Niemcami, podobnie jak w pierwszym oświadczeniu znajdowały się prawie nie maskowane próby dezawuowania legalnego, uznanego przez wszystkie narody walczące, współwalczącego rządu polskiego.

Taki przebieg ostatniej fazy sporu polsko-sowieckiego jest w czasie trwającej wojny wydarzeniem bezwątpienia tragicznym. Jest on tragiczny zwłaszcza dla nas, bo mamy na terenach Rosji setki tysięcy własnych, bezprawnie wywiezionych i bezprawnie zatrzymanych obywateli, bo ziemia nasza staje się po raz drugi terenem walki, bo ciągle nie wiemy, czy sojusznik naszych sprzymierzeńców wchodzi w nasze granice, by walczyć razem z nami, czy przeciw nam.

Jednak wydźwięk ostateczny dwukrotnego zajęcia stanowiska przez rząd sowiecki i rząd polski jest ponad wszelką wątpliwość korzystny dla nas, stanowi nasze zwycięstwo moralne. Dwa razy złożyliśmy świadectwo dobrej woli. Dwa razy oświadczyliśmy gotowość współpracy i porozumienia. Dwa razy poczucie odpowiedzialności sprzymierzeńczej, poczucie głębokiej solidarności z koalicją antyniemiecką zwyciężyło w nas pamięć krzywd, cierpień i strat trudnych do powetowania. Stanęliśmy ponad zarzutem, że nie zrobiliśmy czegokolwiek, co było w naszej mocy, w naszej możliwości, aby podtrzymać i wzmocnić jednolitość frontu przeciw wspólnemu wrogowi. Odpowiedzialność spada na kogo innego.

W tej chwili sprawa polska, sprawa sporu polsko-rosyjskiego nie jest już sprawą polską, ani rosyjską, ale sprawą wszystkich zjednoczonych narodów. Do nich należy jej rozstrzygnięcie. Do nich należy rozstrzygnięcie, czy u końca tej wojny byłby możliwy powrót do tak niedawnej epoki bezapelacyjnych dyktatów, do epoki jednostronnych rozstrzygnięć, do epoki brutalnego języka siły i przemocy. Do ich sumienia należy decyzja czy ta wojna toczyła się i toczy daremnie.

Nas Polaków, nas żołnierzy polskich, ta ciężka chwila zastaje bardziej zdeterminowanych niż kiedykolwiek, ściślej niż kiedykolwiek, bardziej karnie skupionych wokół Prezydenta, Rządu Rzeczypospolitej i Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych, jawnych i działających z podziemi. Z synowską wiernością patrzymy w twarz umęczonego Kraju, z niezachwianą wiarą, z nieosłabioną wolą patrzymy w przyszłość.

ALEKSANDER JANOWSKI

Szkic sytuacyjny

ATAKI I KONTR-ATAKI

Wojska sowieckie uderzają w różnych punktach t.zw. wybrzuszenia kijowskiego /*bulge*/; ostatnio przeszły one do akcji od strony Leningradu, jakkolwiek postępy są tam chyba niewielkie. Mówi się o natarciach w stronę Oranienbaumu. Na Białej Rusi zdobyto Mozyrz. W obrębie "wykusza" kijowskiego wojska rosyjskie coraz bardziej rozpychają się, starając się umocnić ten olbrzymi już dzisiaj "wykusz." Największe natarcie sowieckie idzie niewątpliwie w kierunku na rzekę Boh, ażeby przeciąć linię kolejową, stanowiącą linię odwrotu dla armii uwięzionej od Nikopola do Kirowogradu i dalej.

Wykres linij zmagających się armij wygląda dalej niebywale ryzykownie. Przeciwuderzenia niemieckie przeprowadzane przy użyciu poważnych ilości czołgów, a starające się odepchnąć wojska czerwone od Bohu oraz stępić jęzor sowiecki nie przyniosły wyników. Wprawdzie rozgłośnie niemieckie powiadają o wielkich sukcesach własnych wojsk pancernych, ale mapa nie potwierdza na razie tych zwycięstw. Przypuszczać należy, że kontrataki niemieckie mają na celu nie tyle ścinanie "wykusza" kijowskiego /na to przypuszczalnie wojska niemieckie nie mają "dzisiaj odpowiedniej siły/, ale oderwanie się od wroga, zyskanie na czasie, sparaliżowanie nowych uderzeń w głąb własnych linij.

Akcja niemiecka robi dalej wrażenie powolnego odwrotu, front niemiecki, chociaż niebywale wygięty, trzyma się, spojenia jego nie puściły. Raz jeszcze front wschodni, który przyniósł już tyle niespodzianek strategom świata i obrócił w niwecz zbyt pochopne przepowiednie, dostarcza niespodzianek.

Pisma angielskie w czasach ostatnich starają się wykazać, że opór niemiecki bynajmniej nie jest słaby, przyznają już otwarcie, że wojska sowieckie mają olbrzymią przewagę ludzką. Ocena brytyjska co do możliwości załamania się frontu wschodniego jest dzisiaj o wiele ostrożniejsza, aniżeli jeszcze miesiąc temu.

Olbrzymie boje na Wschodzie mogą trwać dalej. Nie widać jakiejś linii, na której wojska niemieckie miałyby przyjąć walkę. Cofanie się w środku trwa dalej, co dowodzi, że wojska niemieckie nie mogą utrzymać bagien Prypeci i że zdają sobie sprawę, iż jest to teren tak nasiąknięty partyzantami, iż rzucanie tam wojsk jest dosłownie — topieniem ich. Dlatego środek ustępuje dalej, wojska niemieckie walczą wśród "uników," cofają się, trzymając jednak dalej osłonę Odessy i osłonę nafty rumuńskiej.

W danej chwili niczego więcej o sytuacji na froncie wschodnim powiedzieć nie można. Wydaje się raczej, że nie zajdą tam szybko i zaraz jakieś olbrzymie, drastyczne zmiany. Jeżeli by jednak wojska sowieckie dotarły do lini Bohu i przecięły linie kolejowe, to wówczas zagadnienie armij na południu staje się niezwykle krytyczne. Byłaby to druga pułapka w stylu Stalingradu; czy armia niemiecka przygotowała sobie jakieś przesmyki ucieczki, nie wiemy. Być może, że nauczona doświadczeniem stalingradzkim postarała się o to zawczasu.

WE WŁOSZECH — POWOLI

Postępy we Włoszech są dalej wolne. Nie należy oczekiwać żadnych wielkich zmian na tym froncie. Z nadejściem wiosny działania lotnicze we Włoszech mogą przybrać na gwałtowności. Zniszczenie terenu jest olbrzymie. Zdjęcia z walk we Włoszech wykazują, że miasteczka znajdują się w gruzach, że spustoszenie jest niebywałe.

Powolna wojna wyniszczenia przeciąga przez Włochy, które mogą być jednym z najbardziej spustoszonych krajów tej wojny.

NALOTY NA RZESZĘ

Brytyjskie uderzenia na Rzeszę przychodzą w nierównych odstępach czasu. Ostatnio atakowano Brunszwik potężnym ładunkiem bomb. Poprzednio, za dnia ponad 700 "latających fortec" oraz "Liberatorów" przeleciało nad olbrzymim szmatem kraju, ażeby bombardować zakłady budowy myśliwców w centrum Rzeszy. Przy tej sposobności doszło do największej bitwy powietrznej tej wojny. Armada amerykańska, w osłonie pościgowców, atakowana była ostro na całej niemal długości trasy, i to w obie strony. Niemieckie pościgowce uderzały falami. Używano nowych metod walki, które Niemcy uważają za skuteczne. Wybuchy min i bomb niemieckich wydarzały się wśród eskadr amerykańskich, albowiem Niemcy z góry zarzucali formacje Amerykanów bombami.

Wydaje się, że walka nad Rzeszą była niezmiernie twarda i zawzięta. Dowodzi ona, że lotnikom niemieckim nie brak ducha walki i że Rzesza wyprodukowała wielkie ilości myśliwców. Wszystko wskazuje na to, *że Rzesza uznała* — podobnie jak w walkach lądowych — *obronę za ważniejszą aniżeli atak i że ta myśl defensywna przenika dzisiaj wszelkie dziedziny strategii niemieckiej.*

Na skutek tego ataki sojusznicze za dnia muszą liczyć się z poważniejszymi stratami, aniżeli dotychczas. Jest to przedsmak tego, co dziać się będzie przy wstępie do inwazji. Walki, jakie odbywać się będą nad Rzeszą czy Francją będą krwawe, twarde. Obrona niemiecka ma na celu odstraszenie Aliantów. Obecne boje wskazywałyby, że zadania lotnictwa sojuszniczego nie będą łatwe.

Rzesza najwidoczniej postanowiła bronić się zawzięcie na wszystkich frontach. Odcinek włoski jest tego dowodem. Zdaje się, że nikt już dzisiaj nie wątpi, iż próba nadkruszenia "fortecy europejskiej" nie będzie zabawą.

Źródła neutralne stwierdzają, że w stanie t.zw. moral niemieckiego zaszła zmiana. Żołnierz niemiecki walczy dzisiaj zawzięciej. Podobne nastroje panują wśród społeczeństwa. Jest ono zrozpaczone, ale determinacja nie jest złamana.

SPRAWY SOWIECKO-POLSKIE

W uwagach z poprzedniego tygodnia pisanych jeszcze przed ogłoszeniem deklaracji radia moskiewskiego, uznanej potem za wyraz urzędowej polityki i rozprowadzonej przez Moskwę, pisaliśmy — na podstawie doniesienia *Observera* — że w stosunkach sowiecko-polskich nastały czasy krytyczne i że karty padły.

"Balon próbny" pisma niedzielnego *Observer* okazał się w pełni /jeśli można tak powiedzieć o "balonie"/, trafny. Oświadczenie moskiewskie szło po linii przewidywań pisma londyńskiego. Skierowane ono było częściowo jakby ponad głowę rządu, polskiego; prasa angielska podkreśliła ten fakt, który — i słusznie — uważa za niepokojący oraz ocenia krytycznie. Deklaracja sowiecka zawiera w sobie pewne momenty, określane przez język angielski jako "*hopeful,*" ale zawiera również momenty, które dowodzą, że Moskwa patrzy jakby już "dalej i gdzie indziej."

Na deklarację moskiewską przyszło oświadczenie polskie ogłoszone dnia 15.I.1944. Oświadczenie to powstrzymuje się od wszelkich polemik. Jest treściwe, doskonale zredagowane, pełne spokojnej godności. Zaznacza, że Polska gotowa jest do dyskutowania całego zespołu spraw polsko-sowieckich, ale uważa, że dyskusja ta winna się odbywać w towarzystwie sojuszników Polski: U.S.A. i W. Brytanii.

Prasa brytyjska powitała deklarację polską życzliwie. Najwidoczniej i prasa brytyjska, która w ostatnich tygodniach nie okazywała nadmiaru rzeczowości, przeciwnie, dawała popis *nieraz grubo poniżej rzetelności i godności*, zrozumiała, iż nie sposób iść dalej w opanowaniu swoich uczuć, w woli porozumienia. Odpowiedź polska jest godna. Musi ona zrozumiana być przez ludzi dobrej woli. *Dlatego trzeba uznać, że w groźnych warunkach w jakich żyjemy, jest ona jedyną, jaką można było dać.*

Rozumiemy dobrze, że uczucia polskie przeżywają dzisiaj trudne, niekiedy rozpaczliwe chwile. Każde niebaczne słowo prasy angielskiej, każdy artykuł pisma angielskiego przeżywamy, niecierpliwimy się, żżymamy. Czuli jesteśmy na każdą niesprawiedliwość prasy, wdzięczni za każde uczciwe słowo, na jakie zdobyły się pisma takie, jak *The Scotsman*, *Manchester Guardian*, *Birmingham Mail*, *Time and Tide*, częściowo *Daily Mail*. Niektóre pisma brytyjskie osiągają humorystyczny wręcz poziom — celuje w tym zwłaszcza *News Chronicle*, pismo, które swojego czasu w liście jednego z czytelników głosiło, iż w Polsce wymyślono *esperanto*, ażeby pogodzić Polaków którzy mają nadmiernie wiele narzeczy . . . a niedawno, że "Rosja będzie miała wspólną granicę z Czechosłowacją *na północ od Grodna*" . . . Popis ignorancji niektórych pism brytyjskich jest doprawdy kompromitujący.

Jest to bardzo smutne, albowiem opinia kontynentalna o prasie brytyjskiej była wysoka. Akcja prasy brytyjskiej w okresie kryzysu sowiecko—polskiego z grudnia i stycznia, są czarnymi doprawdy kartami tej prasy. Piszę te słowa z goryczą, albowiem uważałem i uważam prasę brytyjską za jedną z najlepszych na świecie. Dla człowieka, który nie był koniunkturalnym chwalcą rzeczy i kultury angielskiej, dla wszystkich tych, co kraj ten cenią i szanują — ostatnie tygodnie stanowią ciężką zaiste próbę. Douglas Reed w liście na łamach *Time and Tide* powiedział odważnie, że stanowisko pewnych pism angielskich budzi w nim "wstyd, że jest dziennikarzem angielskim." Douglas Reed miał odwagę powiedzieć słowa prawdy w jesieni 1938, kiedy wielu z nas odczuwało zażenowanie, patrząc na manewry prasy brytyjskiej w stosunku do Pragi.

Poważny odłam społeczeństwa brytyjskiego zdaje sobie sprawę z tego, że rozgrywka jaka obecnie się odbywa jest czymś bardzo zasadniczym. *W grze są bowiem nie tylko czynniki polityczne, ale moralne — a te ostatnie są daleko czulsze i, by tak rzec, podatniejsze na uszkodzenie.* Prestiż moralny państw anglosaskich jest w grze. Trzeba to jasno stwierdzać bez żadnych obsłonek. *Jeżeli pozwolimy pognębić zasady prawa, obyczajów, porządku, jeżeli pozwolimy odnieść zwycięstwo zasadom przemocy, narzucania siłą jeżeli nie utrzymamy powagi haseł, które sprawiły, że narody Europy oparły się Hitlerowi, to grozi kompromitacja celów tej wojny. Tego wstrząsu moralnego nie zniesie żadna sprawa.*

I dlatego właśnie, że sprawa moralna nie może być skompromitowana i że Europa nie przyjmie rozwiązania siłą, patrzymy w dalszą przyszłość ufnie. *Bliska przyszłość jest jednak i pozostanie na dłuższy jeszcze czas zła, czarna. Wojna bynajmniej się nie kończy — zaczyna się ona. Zaczyna się wojna istotna — wojna o prawdziwe oblicze Europy i świata.*

Londyn, dnia 16.I.1944.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Z tygodnia na tydzień

10 s t y c z n i a: *Wojska sowieckie zajęły dwie miejscowości w Polsce: Bereźne i Ludwipol.*

—Naczelny Wódz gen. broni K. Sosnkowski odznaczył orderami bojowymi sześciu lotników brytyjskich, którzy współdziałali z lotnictwem polskim. Tego samego dnia inspektor lotnictwa płk. dypl. pilot M. Iżycki w imieniu N.W. dekorował jedenastu lotników polskich krzyżami "Virtuti Militari" i jednego Krzyżem Zasługi z Mieczami.

11 s t y c z n i a: *Rząd sowiecki ogłosił odpowiedź na oświadczenie Rządu R.P. z dnia 5 bm.*

—Wojska sowieckie sforsowały rzekę Słucz i zajęły Strzelsk i Niemowicze, na północ i południe od Sarn.

—Lotnictwo amerykańskie z baz w Anglii dokonało silnego nalotu za dnia na fabryki samolotów w Oschersleben, Halbertstadt i Brunszwiku.

—Ciano, gen. de Bono i trzech faszystów oskarżonych o zdradę rozstrzelano w Weronie z wyroku specjalnego trybunału republikańskiej partii faszystowskiej.

12 s t y c z n i a: *Wojska sowieckie zajęły Sarny na terytorium polskim.*

13 s t y c z n i a: *Wojska sowieckie zajęły Korzec na terytorium polskim.*

14 s t y c z n i a: *Lotnictwo Sprzymierzonych dokonało za dnia silnych nalotów na północną Francję.*

—Polskie dywizjony myśliwskie osłaniały dwie wyprawy bombowe. W czasie spotkania z lotnictwem niemieckim uszkodzono jeden samolot nieprzyjacielski.

—Wojska sowieckie zajęły Mozyrz i Kalenkowicze oraz Stepań w Polsce.

15 s t y c z n i a: *Rząd R.P. ogłosił oświadczenie polskie na deklarację sowiecką z dnia 11 bm.*

—Polskie samoloty bombowe uczestniczyły w operacjach bombowych w nocy z 14/15.

—W nocy z 14/15 lotnictwo brytyjskie dokonało ciężkiego nalotu na Brunszwik. Zrzucono ponad 2.000 ton bomb.

16 s t y c z n i a: *Wojska sowieckie zajęły w Polsce Kostopol.*

Wojna na morzu

KIEPSKA POCIECHA.

Po porażkach niemieckich koło Nordcapu i w Zatoce Biskajskiej — radio berlińskie, na pociechę swym ziomkom i na wytłumaczenie sprzymierzeńcom japońskim, ogłosiło, że w ciągu ostatnich tygodni zatopiono 29 kontrtorpedowców anglo-saskich, w tym 7 w bitwie na Biskaju, zaś w ciągu ostatnich 4-ch miesięcy aż . . . 69!

Ano czymś przecież po stracie "Scharnhorsta," 3-ch kontrtorpedowców i statku handlowego, wiozącego bezcenny ładunek strategiczny z Japonii — Niemcy pocieszyć się muszą. Nie zdziwiłoby nas gdyby wzięli cyfrę wszystkich zatopionych kontrtorpedowców sprzymierzonych od początku wojny — zaczynając od naszego "Wichra" /zginął 3 września/ — cyfrę tę pomnożyli swoim zwyczajem przez 4 lub 5 — i tak spreparowaną ogłosili *urbi et orbi* gwoli pocieszeniu bombardowanych wyznawców Hitlera, no i topionych załóg własnych okrętów. Wyszło by — to co już nieraz wychodziło, że zatopiono sprzymierzonym więcej okrętów niż w ogóle posiadali.

Coś się tedy zaczyna psuć w królestwie morskim Hitler-Goering-Doenitz. Zapowiedziana z jarmarczną reklamą nowa kampania okrętów podwodnych zupełnie spaliła na panewce. Okręty podwodne Doenitza i lotnictwo morskie Goeringa dały się spędzić przez eskadry lotnictwa obrony wybrzeża: brytyjskie, amerykańskie, polskie i . . . o ironio losu . . . czeskie! Tak oto starzy korsarze germańscy biorą cięgi nawet od narodu, który dostępu do morza nie posiadał.

Okręty brytyjskie, amerykańskie, greckie, holenderskie, francuskie i polskie dały się im również dobrze we znaki. W ciągu całego roku Marynarka Brytyjska na wszystkich morzach nie straciła ani jednego okrętu liniowego czy lotniskowca, a tylko pewną ilość okrętów lekkich i pomocniczych.

Więcej. W r.1943 niemieckie okręty podwodne zatopiły tylko 40% tonażu zniszczonego przez nie w roku poprzednim. Natomiast sprzymierzeni zbudowali w r.1943 dwa razy więcej tonażu handlowego niż w r.1942.

Połowa strat przypadła na pierwsze trzy miesiące 1943 roku. A tylko ćwierć /26%/ na ostatnie półrocze. Świadczy to jasno o skuteczności obrony przeciwpodwodnej a bezskuteczności ataków.

Jasne jest, że Niemcy muszą pocieszać swych podwodników rzekomymi sukcesami przeciwko kontrtorpedowcom — tym groźnym przeciwnikom okrętów podwodnych.

WOJNA NA PACYFIKU

Amerykanie wylądowali na Nowej Brytanii, chcąc zlikwidować japońską bazę w Rabaul. Operacje morsko-lądowo-powietrzne przybrały tu szeroki rozmiar.

Japonia padła ofiarą swej zachłanności. Musi dziś zapewnić sobie szybkie, bezpieczne i wystarczające pod względem wydajności komunikacje od Aleutów po Zatokę Bengalską i Cieśninę Torresa /Australia./ Na tak olbrzymim teatrze operacyjnym kwestia tonażu nabiera pierwszorzędnego znaczenia. Gdy zabraknie statków, wojska japońskie, rozsiane po przestrzeniach Pacyfiku, Oceanu Indyjskiego i Mórz Południowych, pozostawione będą same sobie.

Tonaż handlowy Japonii z początkiem wojny wynosił niewiele ponad 7 milionów ton. Zdobycze mogły jej dać od pół do miliona. Produkcja roczna nie może wynosić więcej niż milion. Zapotrzebowanie na tonaż rośnie w miarę rozwoju wypadków — równocześnie zaś rosną straty!

Tym się tłumaczy ewakuacja przez Japończyków niektórych wysp w Archipelagu Aleuckim oraz na południowym Pacyfiku.

W działaniach przeciwko tonażowi japońskiemu marynarka i lotnictwo U.S.A. trzymają prym. W roku ostatnim przybyło im 55 lotniskowców — cyfra nielada. Są to okręty dziś niezbędne do każdego typu operacji.

Położenie Japonii pogarsza się z każdą chwilą. Stosunkowo duże straty Amerykanów pokrywane są szybko, niezależnie od normalnego rozrostu. Czy Japończycy są w stanie pokryć swoje — choćby mniejsze—wydaje się bardzo wątpliwe.

Amerykanie twierdzą, że ponadto zbudowali 80.000 statków i barek dla inwazji w Europie.

SCHARNHORST

Według ostatnich danych "Scharnhorst" zatopiony został w czasie łącznego ataku torpedowego krążownika "Jamaica" oraz 8 / a nie 4/ kontrtorpedowców. Drugi dywizjon znajdował się bowiem przy konwoju i również uczestniczył w bitwie. Pierwsze torpedy uszkodziły pancernik niemiecki i zredukowały znacznie jego szybkość. Potem artyleria "Duke of York" zrobiła swoje. W końcu nastąpił drugi atak torpedowy. Z załogi ocalało tylko 36 ludzi.

JESZCZE JEDEN "RAIDER"

Na południowym Atlantyku zatonął — zatopiony przez własną załogę w chwili spotkania okrętu brytyjskiego, — jeszcze jeden niemiecki "raider." Załoga wylądowała w Brazylii i została wzięta do niewoli.

Poprzedni "łamacz blokady" zatopiony został 28 grudnia w Zatoce Biskajskiej. Jego załoga oraz załogi trzech zatopionych kontrtorpedowców niemieckich, bądź zginęły, bądź dostały się do niewoli /62 ludzi/ bądź uratowane zostały przez trauler irlandzki /152 ludzi internowanych w Irlandii/.

ADRIATYK NA PORZĄDKU DZIENNYM

Nie ulega wątpliwości, że wielkie wydarzenia niezadługo będą musiały się rozegrać na Adriatyku. Z Brindisi czy Bari do wybrzeża Grecji, Albanii czy Jugosławii, jest wszystkiego kilka lub kilkanaście godzin żeglugi. Inwazja Bałkanów może się odbyć z kilku stron, jednak strona "adriatycka," ze względu na walki toczące się w Jugosławii i na bliskość wybrzeża włoskiego, wydaje się bardzo wskazana.

Miło jest stwierdzić, że pierwszym okrętem który dotarł do Brindisi był nasz O.R.P. "Sokół." Admirał Sir John Cunningham podziękował mu za to sygnałem:

"W trudnej sytuacji międzynarodowej "Sokół" działał zręcznie i rozsądnie. Jego meldunki były bardzo pomocne. . ."

O.R.P. "Piorun" odeskortował króla włoskiego i marsz. Badoglio na Maltę. Przedtem "Dzik" zatopił dwa statki pod Bari. A w końcu "Sokół" dotarł aż do Pola i również zatopił dwa statki.

Z operacji tych widać, że Sprzymierzeni posiedli panowanie także na Adriatyku, że i tym razem nie brak było wśród nich bandery polskiej.

NA MORZU BARENTSA

Tuż przed bitwą pod Nordcapem, adm. Fraser, dowódca "Home Fleet," odwiedził na "Duke of York" jeden z północnych portów sowieckich. Wymieniono wizyty kurtuazyjne z dowódcą sowieckiej Floty Północnej — adm. Gołowko — oraz innymi przedstawicielami sowieckich sił zbrojnych.

Flota Północna, złożona z kontrtorpedowców, kanonierek, ścigaczy, minowców i okrętów podwodnych, walczy w warunkach polarnych od połowy 1941 roku. Działalność jej polega na obronie dostępu do Murmańska i Archangielska /w szerokim pojęciu strategicznym/ oraz na paraliżowaniu transportów nieprzyjaciela. I jedno i drugie zadanie wypełniła z powodzeniem.

Natomiast komunikaty o zatopieniu przez jeden z jej okrętów podwodnych "Tirpitza," a także o zatopieniu krążownika typu "Koln," okazały się niezgodne z rzeczywistością. "Tirpitz" uszkodzony został w Alten-fiordzie przez brytyjskie "kieszonkowe" okręty podwodne.

Charakterystyczne, że w wydawnictwach sowieckich w języku angielskim też "Tirpitza" nazwano — pancernikiem "kieszonkowym." Tedy zapewne była to . . . pomyłka. Trudno bowiem nadpancernik o wyporności 40.000 ton nazwać "kieszonkowym," nawet w Rosji, gdzie ludzie mają szerokie pojęcia o wielkości.

Na zakończenie wizyty adm. Fraser wręczył adm. Gołowko plakietę pamiątkową z herbem "Duke of York" i napisem: "*Honni soit qui mal y pense.*" /Po polsku: wstyd temu kto ma złe myśli./

ILE NIEMCY MAJĄ OKRĘTÓW

Na to pytanie trudno odpowiedzieć. Trzeba by stwierdzić co się stało z będącymi w budowie dwoma nadpancernikami typu "Tirpitz" /po 40.000 ton/, dwoma krążownikami typu "Hipper" /po 10.000 ton/ i czterema mniejszymi krążownikami /po 6800 ton/, które założono na stoczniach niemieckich, bądź w przeddzień wojny, bądź zaraz po jej rozpoczęciu. Dotyczy to również drugiego lotniskowca typu "Graf Zeppelin" /20.000 ton/ oraz nieznanej bliżej liczby okrętów lekkich i podwodnych.

Istnieje możliwość, że jak w ubiegłej wojnie, Niemcy zaniechali budowy części wielkich jednostek, natomiast wysiłek techniczny i personalny skupił się na okretach podwodnych i ścigaczach. Na Morzu Śródziemnym posiadają w swych rękach dwa pancerniki ex-włoskie, dwa lub trzy ex-francuskie oraz mała ilość krążowników i okretów lekkich, bądź opanowanych we Włoszech, bądź "przeforsowanych" od rzadu Vichy.

Ciekawe, że Niemcy w rekordowym czasie tworzą załogi okrętów, przy czym zdarzyło się, że dowódca okrętu podwodnego miał za sobą zaledwie 2 lata służby, marynarze mieli służby po 8-24 miesięcy, a było między nimi tylko pięciu szeregowców.

Jakże dalecy jesteśmy od kryteriów przedwojennych, kiedy budowa kontrtorpedowca trwała nieraz ponad 2 lata, a wyszkolenie zawodowego marynarza 3 lub 4. Dziś kontrtorpedowce buduje się w 5 miesięcy /Ameryka/, pancernik w półtora roku, a marynarzy daje się na okręt nieraz po trzymiesięcznym szkoleniu /Niemcy/. W pół roku niemiecki marynarz może osiągnąć stopień *Marinegefreiter* /starszy marynarz/, a po roku stopień mata /*Obergefreiter*/.

Z tym wszystkim Niemcy posiadają dziś jeszcze poważną ilość okretów. natomiast niewątpliwie zaczynają wkraczać w kryzys załóg. Tym może tłumaczyć wypada niezdecydowane działania "Scharnhorsta" i torpedowców w dwóch ostatnich bitwach.

JULIAN GINSBERT

Bitwa na Ukrainie

Studiując w prasie aliantów, jak i naszej ostatnie wydarzenia na rosyjskim froncie południowym, stwierdzić trzeba dużą powierzchowność w ocenie położenia armii obydwóch stron wojujących. Spróbuję trochę wyjaśnić ostatnio rozegrane i obecnie rozgrywające się wydarzenia.

Obszar, na którym toczą się główne walki, to rejon na zachód od południowego kolana Dniepru. Linia tej rzeki w swoim południowym biegu, na odcinku Nikopol — Nikołajów utrzymana jest nadal przez Niemców, lecz i na północy linia oporu niemieckiego dochodzi jeszcze w pobliże Dniepru, aż po Kaniów — oddalony jedynie o 100 km. od Kijowa.

Szerokość frontu objętego ofensywą sowiecką, licząc od Nikopola do Sarn, wynosi w linii prostej z górą 800 km. Jeżeli natomiast uwzględnimy broniący się jeszcze Krym, szerokość ta wynosić będzie o 200 km. więcej. Jasne jest, że natężenie walk nie może być równomierne na tak kolosalnym froncie. Muszą więc być odcinki bardziej bierne, podczas gdy inne są bardziej czynne.

Dla właściwej oceny walk, a zwłaszcza ruchów wojsk na tym teatrze wojny, musimy mieć przed oczyma porę roku, w której operacje te się toczą. Uprzytomnić sobie musimy przy tym warunki komunikacyjne, panujące na Ukrainie w czasie zimy. Zasadniczy ruch większych oddziałów ogranicza się do nielicznych dróg. Ruch po nich częstokroć jest niemożliwy dla większych i cięższych pojazdów, bez współudziału pługów i traktorów śnieżnych. Oczywiście istnieje możliwość posuwania się lekkich oddziałów narciarskich, wszystkie inne zaś zmuszone są do wydłużania swych kolumn w ciężkim pochodzie na drogach. Utrudnia to bardzo operacje w większym stylu.

Warunki zimowe nakazują również obrońcy — skupiać się głównie wzdłuż linij komunikacyjnych, a więc dróg i kolei oraz utrzymywać miejscowości, przez które te komunikacje prowadzą. To stwarza dogodne warunki taktyczne dla działań niezbyt znacznych oddziałów, które mogą przenikać na głębokie tyły obrony nieprzyjaciela.

Czytamy w prasie o zagrożeniu potężnej siły 60 Wielkich Jednostek niemieckich /dywizyj piechoty: ofensywnych i defensywnych, pancernych i zmotoryzowanych/ znajdujących się w kolanie Dniepru. Ruchy oddziałów sowieckich, podchodzących pod Winnicę, grożą okrążeniem tych oddziałów od zachodu. To też widzimy usilne starania gen. Mannstein'a obrony tego skrzydła, o czym świadczą ostatnie poważne działania jego odwodów pod Żmerynką i Winnicą. Niezawodnie losy i dalsze kierunki działań armii niemieckich na Ukrainie, zależą od wyniku tej bitwy na ich skrzydle. Komentator niemiecki gen. Dittmar, jak również dr. Goebels, określają sytuację tych armii — jako poważną. Chodzi im widocznie bardzo o maksymalne wzmożenie oporu broniących się wojsk i zmobilizowanie potrzebnych odwodów.

Jednym z poważniejszych ognisk walk w ostatnich działaniach jest rejon m. Kirowo. Prasa i komunikaty radiowe, mówiły nam o zupełnym okrążeniu i odcięciu tam przez wojska sowieckie 5 do 7 dywizyj niemieckich, w czym 3 pancernych. Ostatnie wiadomości podają natomiast, że nawet te siły w przeważnej swej części—uszły z potrzasku. Jeżeli przyjmiemy ostatnie cyfry podane przez komunikat sowiecki z Moskwy, to Niemcy stracili w tej bitwie 15.000 zabitych, 293 czołgów, 188 armat rozmaitego kalibru i paręset karabinów maszynowych. O jeńcach komunikat nie wspomina. Przyjmując ogólne siły—tych do niedawna okrążonych dywizyj niemieckich—na 60-70 tys. żołnierzy, wydaje się, że tylko czwarta lub piąta część ich została zniszczona, co jest równoznaczne ze stratą straży tylnej. Straty materiałowe, choć pokaźne, są dziś dla Niemców jednak jeszcze stosunkowo łatwiejsze do zastąpienia,' aniżeli straty żołnierzy, a zwłaszcza żołnierzy specjalistów. Walka o Kirowo świadczy o tym, iż Wielkie Jednostki niemieckie, są jeszcze zdolne do twardego oporu, nawet w stanie okrążonym.

Jak sobie jednak wytłumaczyć dalsze utrzymynanie się daleko pod Dniepr wysuniętych armii niemieckich? Sądzę, że główny błąd niektórych komentatorów polega na mniemaniu, iż siły te opierają się wyłącznie na liniach dowozowych, prowadzących od zachodu z Polski. Propagandowo brzmiący komunikat radiowy z dnia 11. b.m. mówi n.p. pod tym względem, że w rejonie Winnicy oddziały sowieckie zagrażają przecięciem linii kolejowej: Odessa — Warszawa. Pomijając już, że przestrzeń Odessa — Warszawa wynosi około 1.200 km., kierunek nie jest zupełnie związany z obecnymi działaniami. Tak samo można by było podać, że wojska sowieckie zagrażają linii kolejowej Odessa — Praga, lub innej.

Wydaje się natomiast bardzo możliwe, że masa tych wojsk niemieckich, zgrupowana w kolanie Dniepru, opiera się pod względem zaopatrzenia również o Rumunię. Za tym poglądem przemawia utrzymanie przez Niemców Krymu, stanowiącego jakby bastion chroniący od wschodu — "place d'arme" obrany przez Niemców.

Przypuszczalnie Niemcy dążą do jak najdłuższego utrzymania się w bogatym w surowce obszarze Ukrainy. Ewentualny, całkowity odwrót tych wojsk w obecnej porze zimowej, byłby działaniem trudnym i wymagającym większych strat aniżeli zacięta obrona na miejscu.

O ile nawet przyjmiemy, że armiom sowieckim, generałów Watutina i Koniewa uda się w niedalekiej przyszłości wymusić podobny, generalny, odwrót armii niemieckich z łuku Dniepru, będą one przypuszczalnie dość silne, by przełamać wszystkie te zapory, które by im na kierunkach odwrotu przeciwstawiano. Nie wydaje się bowiem możliwe kompletne okrążenie i zniszczenie tak znacznych sił bijącego się żołnierza. Jako kierunki dla takiego odwrotu, wchodzą przede wszystkim w rachubę: rzeka Boh, a następnie Dniestr — jeżeli chodzi o kierunek południowy. Poza tym stare szlaki na zachód, prowadzące do Polski; Żmerynka — Lwów i Berdyczów — Równe.

Uderzenie armii sowieckiej na Sarny jest oddzielnym działaniem nie stojącym w związku z operacjami na Ukrainie. Rozszerzone na północ poprzez Mozyr skieruje się uderzenie to na Polesie — obszar, jak wiemy, trudny dla rozwinięcia poważniejszych sił. Rejon Sarn położony w tak zwanym Małym Polesiu może jednak również stanowić w przyszłości podstawę dla działań na Wołyniu, głównie w kierunku Równego, Kowla i Łucka, przez co stwarza niezawodnie nowy kłopot dowództwu niemieckiemu. Niemcy będą więc zmuszeni stoczyć nową bitwę o południowe, a możliwe, że wnet i o północne wyjścia z Polesia. Przegranie przez nich tej bitwy o wyjścia z Polesia mogłoby stać się przyczyną generalnego odwrotu ich armii za Bug. Wygranie natomiast jej grozi odcięciem tych sił sowieckich, które wysunęły się daleko na zachód od swojej bazy.

Przerwanie przez wojska sowieckie linii kolejowej Sarny — Wilno, nie ma w obecnym położeniu tak wielkiego znaczenia dla Niemców, jak się to w prasie ogólnie twierdzi. Znaczenie tej linii jako rokadowej było zawsze drugorzędne.

Nie przesądzając ostatecznego wyniku głównej bitwy, toczącej się obecnie na Ukrainie, winniśmy zdać sobie sprawę z ogromu tych walk, jak również z trudności kompletnego zniszczenia skoncentrowanych tam armii niemieckich. Choć w duchu życzymy im jak najrychlejszej zagłady, musimy uprzytomnić sobie, że opór tych mas nie będzie tak łatwo złamany, czego dowodem są dotychczasowe walki prowadzone z ogromną zaciętością, mimo dużych ofiar, które ponoszą zresztą obydwie strony walczące. Niemieckie naczelne dowództwo zaryzykuje przypuszczalnie rzucenie obecnie choćby ostatnich odwodów z innych odcinków Europy dla naprawy położenia armij generała Mannstein'a na Ukrainie, przed rozpoczęciem generalnej ofensywy aliantów lub też rozkaże tej grupie armij w odpowiednim czasie stoczyć "bitwę o odwróconym froncie," by siłą wywalczyć drogę ich odwrotu.

FRYDERYK MALLY

Nakładem "Książnicy Polskiej," 242, Hope Street, Glasgow
ukazał się
pełny przedruk zbioru wierszy powstałych po kampanii wrześniowej
i wydanych konspiracyjnie w Kraju
p.t.

ANTOLOGIA POEZJI WSPÓŁCZESNEJ

Przedmowa Tymona Terleckiego

Cena 2sh.

Czysty dochód na Fundusz Pomocy dla Polaków w Rosji

Maszyna wali w dół

Bomby zrzuciliśmy nad celem. Zadowolenie z dobrej roboty zamąciły nam reflektory nieprzyjacielskie. Nie zdążyliśmy "odskoczyć" jeszcze od celu, gdy około 80 ślepych reflektorów złapało nas w stożek.

—Myśliwiec z prawej z przodu —padło ostrzeżenie.

Byłem strzelcem przednim, oddałem jedną serię, drugą, ale prawie na ślepo. Widoczność była słaba. Nie zorientowaliśmy się jeszcze o wyniku naszych pocisków, gdy niespodziewanie wroga maszyna zaatakowała nas serią z tyłu. Druga seria po silniku, trzecia po lewej części kadłuba, po wieżyczce . . . Maszyna poszła na łeb.

—Chyba pilot ranny, położył się na ster i dlatego walimy prosto w ziemię . . . a może nie żyje . . . skakać czy nie? . . . ale, jak wyjść nie zdążę już . . . A niech . . . — machnąłem ręką z rezygnacją.

Jednak myśl o pilocie nie dawała spokoju. Pytałem go raz i drugi, czy prowadzi. Nie było odpowiedzi. Mimo to byłem spokojny. Nie schodziłem z wieżyczki.

—Tym razem już się chyba nie wymigam—muszę odwiedzić gościnne progi św. Piotra.

Krótki rachunek sumienia. Zasłoniłem oczy ręką. Nie wiem, trudno mi w tej chwili powiedzieć dlaczego, ale wydawało mi się, że najgorsze to zobaczyć ziemię przed zderzeniem. Rękę przyciskałem coraz mocniej do oczu.

Ale widocznie nie było sądzone mi jeszcze tym razem rozstanie się z padołem ziemskim . . . — pilot niespodziewanie wyrównał maszynę.

—Same cuda się dzieją—myślałem niechętnie nawet.

W czasie wytracania szybkości maszyna dostała nową serię po kadłubie. Słychać wyraźnie wrogie działko.

—Grat się pali!—wyrzucił z siebie strzelec ogonowy.

—Włazić—padł rozkaz pilota skierowany do mnie.

Odpiąłem maskę. Włączyłem tlen. Wlazłem do kadłuba. Przypiąłem spadochron. Pierwszy pilot siedział za sterami. W kadłubie ogień. Załogi nie było. Obejrzałem się ze zdumieniem—nie ma, naprawdę nie ma. Wyskoczyli.

—Aha, pewnie rozkaz pilota "skakać" był dany w momencie mego przechodzenia do kadłuba, i po prostu nie mogłem słyszeć—pomyślałem.

Zostaliśmy "na gospodarstwie" sami. We dwóch. Sytuacja niecodzienna. Ogień w kadłubie powoli sam przygasał. Spojrzałem raz jeszcze na pilota. Siedział normalnie za sterami. Podszedłem do niego.

—Dolecisz? — powiedziałem lakonicznie.

Pokazał mi oczyma na obrotomierz. Prawy silnik pracował normalnie, lewy—wcale.

—Sprawdź kurs na busoli. Nadaj S.O.S. Weź Q.D.M.-a do domu—skandował pilot.

Poszedłem do radia. Widok—pożal się Boże. Pocisk z działka trafił prosto w blachę pancerną i poduszkę na głowę radio-telegrafisty. Eksplodował w nadajniku, rozsadził go kompletnie.

Moja pani Kaszubowska z takim radiem. Jak mam nadać S.O.S.? Nie miał gdzie cholera eksplodować, tylko właśnie w nadajniku. Jak mam nadawać? Właśnie w nadajniku . . . psiakrew . . .—mruczałem gniewnie.

Nie wiadomo dlaczego rozwalony nadajnik wprawił mnie w szubieniczny humor. Wróciłem do pilota.

—Nie można nadawać. Rozwalony—zameldowałem uśmiechając się idiotycznie.

—Brzeg widać? — raczej dostrzegłem, niż usłyszałem pytanie pilota. Pokręciłem głową przecząco. 100 mil jeszcze. Wydawało mi się, że jednak miliony jeszcze dzielą nas od wymarzonego brzegu. A do tego jeszcze zapasowy zbiornik z olejem rozbity, spalone pokrycie kadłuba . . . łóżko do niczego . . Myśl o łóżku ożywiła mnie wyraźnie . . Poszedłem zobaczyć, co się dzieje w wieżyczce strzelca ogonowego. Wieżyczka była odwrócona. Lewy karabin rozbity. Ślady krwi.

—Biedak. Pewnie skakał ranny. Czy żyje? Czy udało się?

Wróciłem do mego towarzysza. Prawy silnik trząsł coraz silniej. Mieliśmy już tylko 6,000 stóp. Pokazał mi ręką—skakać. Coś ścisnęło mi gardło. Chciało mi się płakać. Zrobiłem nieokreślony ruch ręką. Miało to pewnie oznaczać pożegnanie. Skoczyłem.

Później, może za parę sekund . . . może za parę minut . . . zobaczyłem skaczącego pilota. Widok maszyny zostawionej bez kontroli wywołał nowy skurcz gardła. Nie myślałem o tym, że za chwilę zobaczę obcy ląd, obcych ludzi . . . Myśli krążyły koło opuszczonej maszyny. Chciało by się jeszcze wrócić, zatrzymać . . . Jeszcze dotknąć choćby wiernej towarzyszki, powstrzymać ją . . . Uderzyła o ziemię . . . Wybuchy . . . Nie mogłem . . . zasłoniłem oczy. . . .

Wylądowałem. Gdzieś, nad jakimś rowem. Zrzuciłem *may west*. Pusto, zimno. Uczucie osamotnienia i jakiejś bezradności.

—Co z resztą załogi, czy żyją, gdzie są, gdzie pilot? . . .

Otrząsnąłem się.

—Nie rozmazuj się stary. Grunt, żeś cały i żywy. A teraz trzeba pomyśleć o ucieczce. Nie złapiecie mnie. Nie będę frajer—myślałem bardziej rzeczowo.

Ciemna noc pozwalała na możliwie swobodne poruszanie się. Resztki płonącej maszyny, kompas, jakaś mapa ułatwiły mi określenie mojej sytuacji "strategicznej." Wiedziałem mniej więcej gdzie jestem. Szedłem całą noc. O świcie dobrnąłem do lasu świerkowego. Tam zostałem przez całą noc. Byłem głodny. Zacząłem iść dalej. I. . .

21- letni sierżant Żu-Żu przerwał opowiadanie. Dziś nie można ujawniać historii ucieczki młodego zapaleńca. Wystarczy, że po trzech tygodniach wędrówek—zameldował się do służby w swoim dywizjonie. Nie on pierwszy i nie on ostatni.

LEONTYNA GODLEWSKA.

WSZYSTKO NAM JEDNO . . .

Wszystko nam jedno, żołnierzom,
gdy kulka przyleci od wroga,
ile nam ziemi odmierzą
gdzieś na rozstajnych drogach.

Wszystko nam jedno, żołnierzom,
rachunek nie musi być ścisły,
ile nam ziemi odmierzą
na wschód i zachód od Wisły.

My sami — bo żołnierz uparty —
z bagnetem — a choćby i z nożem! —
dojdziemy do Wisły i Warty,
staniemy na Śląsku, nad morzem!

Rozmowa będzie króciutka
o Wilnie, Krzemieńcu i Lwowie.
Nie damy też Nowogródka,
dlaczego? — niech Adam odpowie.

Nas biją — a my przeżyjemy,
ich siła — a my niepodlegli.
Idziemy, idziemy, idziemy,
żyjący, walczący, polegli!

Nie chcemy nad Ural, Kałymę,
dosyć jeździliśmy w gości,
chcemy polską zaprosić zimę,
żeby polskie tuliła kości.

Kto nam wróg, temu ręka nasza
bagnetem serce przewierci.
Rozpacz nas nie przestrasza,
będziemy się bili do śmierci,
będziemy się bili po śmierci.

Wiersz ten ukazał się w Nr 41 "Dziennika Żołnierza APW."

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

Polska armia podziemna

I.

PRZEWODZIMY OPOROWI ZBROJNEMU PRZECIW NIEMCOM

Europa jest w walce. Zaangażowana jest w tej walce siła charakterów ludzi walczących od lat, siła woli młodych i starych, kobiet i mężczyzn ginących w imię sprawy, o którą wszyscy się modlimy, której osiągnięcie jest celem tej wojny. Europa, prześladowana, doprowadzana do ostateczności głodem i zimnem, torturami fizycznymi i moralnymi, Europa, która nie zna słowa odpoczynek, nie zna słowa radość od lat — walczy. Od Polski, poprzez kraje małe i większe, średnie i najmniejsze, aż po Grecję i Norwegię, armie partyzantów, oddziały patriotów, wojsko organizowane w podziemiach, katakumbach nowoczesnych chrześcijan — walczy.

Trzeba sobie zdać sprawę z faktu, że Polska, kraj napadnięty i zagrabiony przez Niemców najwcześniej, naród skazany przez nich na zagładę — walczy najdłużej. To nie jest tylko kraj cierpiący, jest to przede wszystkim kraj walki. Z regularnymi wojskami polskimi na Bliskim Wschodzie i w Wielkiej Brytanii współpracuje najściślej Armia Krajowa, właściwy trzon polskich sił zbrojnych na świecie, najliczniejsza armia Rzeczypospolitej. Armia ta, zorganizowana na wzór wojsk działających jawnie, walczących na prawach przez wroga nawet szanowanych walczy od września do dnia dzisiejszego bez przerwy, ponosi straty ogromne, krwawi się sama, krwawi swymi walkami kraj. Spadają, nań ciosy coraz sroższe, coraz bardziej bezwzględne w miarę, jak Armia działa coraz skuteczniej, w miarę jak zadaje razy coraz boleśniejsze.

Armia ta działa ciągle, pomimo straszliwej ceny jaką musi płacić, pomimo braku bezpośredniej pomocy od Sprzymierzonych. Wie ona, że pomaga im istotnie, że wiąże siły niemieckie, że działa na samopoczucie okupanta. Działając przy tym pod rozkazami legalnych władz polskich, przebywających na obczyźnie, jest pewna, że żadne jej działanie nie zaszkodzi ogólnej strategii sojuszniczej, że przeciwnie stanie się wkładem trwałym w długodystansowej polityce sztabów armii sprzymierzonych. A to, że nie ma koordynacji z wojskami sowieckimi jest zarówno winą jednostronnego zerwania stosunków dyplomatycznych z Polską przez Ż.S.R.R. jak i — bądźmy szczerzy —tego, że koordynacja strategiczna i taktyczna sił angloamerykańskich i sił sowieckich została uzgodniona dopiero w Teheranie.

Na podstawie raportów otrzymywanych z Polski odtworzyć sobie możemy wszystkie trudności, z jakimi ta Armia musi się borykać, problemy, na jakie w swej pracy napotyka. Terror niemiecki, stanowisko ludności cywilnej, ratowanie najbardziej prześladowanej polskiej inteligencji, przechowywanie resztek uciekinierów żydowskich — oto niektóre z nich. Jest ich jednak znacznie więcej. Z raportów, głosów prasy neutralnej, opowiadań ludzi zbiegłych z Polski odtworzyliśmy obraz oporu zbrojnego Polaków w Polsce. O tym oporze dziś chcemy napisać tyle, ile pozwala na to bezpieczeństwo walczących. O tym oporze chcemy przez czytelników polskich poinformować naszych anglo-saskich przyjaciół. To bowiem jest nasz wkład do tej wojny największy, najbardziej kosztowny i najbardziej nam wszystkim drogi.

W OŚWIETLENIU NIEMIECKIM

Do rąk naszych dostał się dokument tajny pochodzący ze źródeł niemieckich a obrazujący sytuację w Polsce na początku roku ubiegłego. Od tego czasu zaszły na terenie t. zw. dystryktu warszawskiego poważne zmiany, a w miarę zwiększenia się klęski niemieckiej sytuacja w tym okręgu jak i w całej Polsce zmienia się coraz bardziej na niekorzyść okupantów.

Jednak i to spóźnione sprawozdanie posiada szczególne znaczenie, ze względu na fakt, że jest to raport wewnętrzny. Pisze się w nim bez świadków — dla własnych władz. Oto parę charakterystycznych dla walki podziemnej wyjątków tego raportu. Opuszczone części dotyczą spraw gospodarczych, rynku pracy, stosunków żywnościowych, szkolnictwa, propagandy, etc.

“Sytuację polityczną w dystrykcie warszawskim ilustruje fakt, że w miesiącu lutym i marcu zamordowano 29 Niemców i 40 raniowo ciężej lub lżej. W 50 dniach okresu sprawozdawczego 69 Niemców padło ofiarą działań elementów wrogich. Zamachy przypadają przeważnie na Warszawę, gdzie zamordowano w tym okresie 25 a raniono 35 Niemców. Do tych napadów na Niemców dołączają się jeszcze zamachy na tych nielicznych Polaków, którzy znajdują się na służbie niemieckiej. Polski ruch oporu chce osiągnąć przy pomocy kolejnych zamachów zaniepokojenie ludności niemieckiej i powstrzymanie lojalnie pracujących Polaków od pracy w przedsiębiorstwach niemieckich.”

“Postawa Niemców jest tak jak przedtem bez zarzutu. Słusznie jednak mieszkający tu gorzko się żalą, że rząd Generalnego Gubernatorstwa do dnia dzisiejszego nic nie uczynił, aby przynajmniej przez odpowiednie ustawy zabezpieczyć członków rodzin po zamordowanych oraz inwalidów. Należy w jak najszybszym terminie zająć się tymi Niemcami, którzy ponieśli straty w walce albo zostali ranni. Należy stworzyć dla nich takie same warunki prawnego zabezpieczenia, jakie posiadają członkowie sił zbrojnych. Ponieważ większa część zatrudnionych Niemców składa się nie z urzędników lecz z pracowników, wobec tego w obecnym porządku prawnym większą część ofiar zamachów, ewentualnie ich członków rodzin kieruje się na droge zapomóg albo dobroczynności. Że to wywołuje gorycz u urzędników oraz pracowników nie wymaga uzasadnienia.”

“Należy zwrócić uwagę na napady na kasy oszczędności, podkładanie ognia pod magazyny, sabotaż wojskowy, oraz na podrzucanie przedmiotów do samochodów.”

“Propaganda przy pomocy ulotek wzrosła w ciągu dwóch miesięcy bardzo poważnie. Godne uwagi jest jednak to, że pisma polskie jednocześnie zajmują się stwierdzeniem przeciwieństw między Londynem a Moskwą w sprawie Polski. Te sprzeczności są również tematem rozmów polskiego społeczeństwa. Działały one przygnębiająco na ludność polską, ponieważ Polacy znowu poznali prawdziwe oblicze bolszewizmu z powodu roszczeń do polskich obszarów wschodnich. Przekonali się jednocześnie, że Anglia nie jest w stanie wystąpić skutecznie przeciw bolszewizmowi w Europie. Ze względu na obecne położenie jest rzeczą pilną wydanie ogólnych wskazówek w sprawie polityki w stosunku do Polaków, przy których pomocy po wyjaśnieniu kwestii polskiej mogłaby nastąpić czynna propaganda ze strony niemieckiej. Przyczyniłoby się to w szerokich kołach ludności polskiej do zatamowania ruchu oporu.”

“Napady bandyckie na zakłady wyżywienia, jajczarnie i mleczarnie, spółdzielnie oraz podpalanie gospodarstw rolnych w okresie sprawozdawczym wzrosły nadzwyczajnie. Rozszerzająca się działalność bandycką na terenie powiatów, wpływa bardzo ujemnie na dostawy produktów rolnych. Szczególnie ucierpiała na tym dostawa bydła. Chłopi obawiają się pędzić bydło po szosach, bo są napadani a bydło się im odbiera.”

“Praca *Arbeits-amt'u* stała się w okresie sprawozdawczym nadzwyczajnie ciężką, ponieważ wszystkie wrogie elementy agitują przeciwko konieczności pracy. Członkowie wydziału pracy i urzędów pracy w Warszawie i dystrykcie warszawskim, zasługują na najwyższe uznanie, ponieważ wszyscy pracujący tam Niemcy są codziennie osobiście zagrożeni. W okresie sprawozdawczym dokonano zamachu przez podrzucenie maszyny piekielnej do biura kierownika wydziału pracy Hoffmana. Zamach ten nie udał się. Niestety dyrektor Hoffman padł ofiarą następnego zamachu, wkrótce po zakończeniu okresu sprawozdawczego.

W licznych agenturach zniszczono pewne akty, kartoteki i t.d. Polski personel w niemieckich urzędach pracy jest systematycznie terroryzowany i chce przeważnie opuścić biura pracy. Należy uwzględnić te stosunki i stwierdzić, że w tych warunkach i wobec takich trudności jest wielkim wyczynem wydobycie 14 tysięcy osób do pracy w Reichu.”

“Bezpieczeństwo w Warszawie nie wygląda dobrze. 13 marca przed południem około godz. 9-tej bandy dokonały zamachów na trzy oddziały K.K.O. /Komunalna Kasa Oszczędności/. Zrabowano ogółem 138 tysięcy złotych. Nie udało się ująć bandytów, dobrze uzbrojonych, którzy sterroryzowali pracowników. Należy niestety stwierdzić że napady te uchodzą bezkarnie.”

“W okresie sprawozdawczym starostwa miały do czynienia z trzema zagadnieniami: bezpieczeństwo, ujęcie sił roboczych, spis ludności. Bezpieczeństwo szwankuje. Prawie wszyscy starostowie meldują wzrost liczby rabunków, włamań i morderstw w celach rabunkowych, oraz częste zamachy na urządzenia kolejowe. Przy każdej okazji rzuca się również granaty ręczne do restauracji niemieckich.

Napady bandyckie przyjmują dość szeroki zakres. Starosta pow. warszawskiego melduje, że sławny bandyta Rybacki mając do dyspozycji 15 ludzi uzbrojonych w karabiny maszynowe lub pistolety wdarł się do miejscowości Dąbrówka, zamordował tam 6 mężczyzn i 3 kobiety, 5 osób ciężko ranił i podpalił zabudowania.

Jeśli jednak jest jakiś porządek mimo stałych napadów które dotknęły nawet posterunki policji polskiej, to zawdzięczać to należy sprawności starostów, którzy dbają o to, aby zapewnić spokój ludności niemieckiej.”

Z powyższego sprawozdania widać, że urzędnicy na terenie ziem okupowanych nie są pewni, życia. Nęka okupantów akcja oporu, napady, ogarnia ich lęk przed propagandą polską. Wróg przyznaje, że prasa podziemna funkcjonuje sprawnie.

Miejscowe władze okupacyjne szukają ratunku dla siebie. Wydaje im się, że można wyzyskać gorycz ludności z powodu stanowiska Sowietów wobec granic wschodnich. Zwracają się więc do centrali o zmianę polityki. Może to osłabi akcję oporu a więc terror.

Tymczasem, jak widać sytuacja jest zła. Węgla przybywa jedna trzecia część sprzed wojny, a tu trzeba zaopatrzyć nowe fabryki przeniesione do Polski na skutek bombardowania. Robotnicy nie jadą do Reichu. Urzędy pracy są stale w strachu o życie urzędników. Grozi natomiast brak robotników z powodu słabej podaży rąk roboczych.

Autor raportu miesza, najpewniej umyśnie ruch oporu z napadami bandyckimi. Donosi o stałych napadach na wsi i stwierdza, że ściągnięta kontrybucja w Warszawie w sumie 10 milionów nie zmniejszyła liczby napadów na urzędy.

Całe sprawozdanie przesiąknięte jest wyraźnym strachem o życie własne i kolegów okupantów. Autor dodaje sobie otuchy, że mimo to gubernatorstwo opracowało plan pracy na cały rok, i że to “wywarło wrażenie na ludności,” podtrzymało poczucie stabilizacji okupantów. Jednak ton i fakty podane wykazują, że autor nie ma poczucia tej stabilizacji, mimo cieniowania faktów i chęci komentowania ich na korzyść swoich mocodawców.

TERROR NIEMIECKI

Strach, który przebija przez karty powyższego sprawozdania rodzi represje i terror, których nie rozumie przeciętny mieszkaniec W. Brytanii, ponieważ wyobraźnia jego niezdolna jest do wizji tak bardzo nieludzkich. Terror ten wymaga jednak omówienia przy tym ogólnym rzucie oka na walczący kraj. Wymaga także uzasadnienia. Nie tylko bowiem strach jest jego motorem. Opiera się on także o plan opracowany dawno, systematycznie przygotowywany i dzisiaj w setkach obozów koncentracyjnych i pracy wprowadzany w życie — plan wyniszczenia narodu, wyrwania z korzeniami jego kultury, jego wiekowego dorobku. Dlatego, gdy tylko Niemcy weszli do Polski zaczęli z miejca niszczenie inteligencji polskiej i jej pracy. Padły ofiarą książki, obrazy, pomniki, nuty, ślady polskości w muzeach. Lecz przede wszystkim furia zwróciła się przeciw ludziom. Zdawało się wiernym spadkobiercom Zakonu Krzyżackiego, że niszcząc elitę, potrafią wytrzebić całkowicie siły żywotne narodu.

Straty są wielkie, lecz — po obu stronach. Tego nie przewidziano. Nie przewidziano także faktu, że Polacy wejdą pod ziemię z wojskiem, pociechą religijną, z muzyką i poezją, z tym wszystkim czego im nie wolno dzisiaj jawnie wyznawać. W odpowiedzi na plan niszczenia przez okupanta zrodził się plan polskiego tworzenia, plan oparty na mocnym postanowieniu przetrwania i słusznej zemsty. Dlatego akty terroru nie łamią, lecz wzmacniają, dlatego okrucieństwo nie pomaga oprawcom, a jedynie usztywnia opór polski.

Raporty z kraju pełne są opisów terroru. To dla nich chleb codzienny od lat czterech. Branka do robót przymusowych jest jednym ze sposobów pozbawiania narodu najlepszych sił. Odbywa się ona przy akompaniamencie licznych salw egzekucyjnych.

Prace fortyfikacyjne na wschodzie potrzebują robotnika. Najłatwiej go zdobyć w Polsce, skąd najbliżej tego robotnika dowieźć. W sierpniu ub. r. odbyto konferencję kierowników urzędów pracy i postanowiono akcję werbunkową wzmożyć i zaostrzyć. Najpierw zabrano specjalistów. Pracownicy przedsiębiorstw metalurgicznych, budowlanych, hydraulicznych itp. posłani zostali do obozów. Potem przyszła kolej na z dawna wypróbowane łapanki uliczne. Po kilkaset osób dziennie padało ofiarą tego w samej tylko Warszawie. Na prowincji stosuje się to samo plus masowe zamykanie sklepów polskich i wysyłanie właścicieli oraz personelu na roboty. Okręg Lublina, Zamościa, oraz Wołyń dały wiele par rąk roboczych na Wschód. Nie trzeba podkreślać w jakich warunkach ludzie ci byli brani, jakie mieli wyżywienie, jakie płace. Z robót w Niemczech i robót na Wschodzie wraca się albo jako zdarty łachman ludzki, albo nie wraca się wcale.

Wszelkie oznaki pracy konspiracyjnej tłumi się w ten sposób, że aresztowania obejmują całe dzielnice, czasem całe miasta. Zasada, że wśród tysiąca niewinnych może znaleźć się trzech winnych, uważana jest przez Niemców za całkowicie usprawiedliwiającą tego rodzaju metody. Lecz ci winni nie sprzedają swego życia łatwo. Przy aresztowaniach giną i Niemcy. 2-go sierpnia ub. r. patrol żandarmerii zatrzymał na jednej z głównych ulic na Pradze /przedmieście warszawskie/ trzech mężczyzn. Zaczepieni ostrzelali patrol, zabili żandarma, zranili trzech innych i zbiegli.

W dwa dni potem Gestapo wykryło skład broni przy ul. Różanej w Warszawie — ochrona składu broniła się przy pomocy broni krótkiej oraz granatów ręcznych. Tylko jeden człowiek nie zdołał zbiec i został schwytany. Inni ocaleli. 19-go sierpnia zatrzymano przechodniów przenoszących w teczkach ręczne granaty. Broniąc się zadali Niemcom poważne straty. W odwet za to okupanci zamknęli ul. Poznańską w Warszawie, na której wypadek miał miejsce i aresztowali wszystkich mieszkańców trzech najbliższych domów.

Blokady i rewizje w mieszkaniach, wsiach i miasteczkach odbywają się stale. Ludzie idą do więzień, obozów pracy, obozów koncentracyjnych. Tępi się polskiego inteligenta na równi z polskim chłopem, ponieważ wspólnie oni dzisiaj stanowią trzon Podziemnej Armii Krajowej. Aresztowania oficerów rezerwy nawet takich, których już przedtem przymusowo zatrudniono w przemyśle niemieckim, dowodzą, jaki wielki jest strach Niemców przed żywotnością Polaków.

Ciosy spadające z początku planowo, spadają coraz bardziej na ślepo, ogarniając jednak coraz szersze koła, coraz mniej wybierane lecz coraz mocniej i coraz bezwzględniej niszczone. Trudno podawać cyfry bezwzględne — dość wspomnieć, że w stolicy łapanki idą w tysiące co tydzień, czasami co dzień, że na prowincji w jednym tylko Sokołowie Podlaskim w dniu 22-go sierpnia aresztowano 800 osób, a to miasteczko ma niewiele ponad 20,000 ludności.

Prócz tego niszczy się mienie, morduje ludzi. W Białostockim ukazał się w lipcu dokument nazwany potem dokumentem zbrodni. W odwet za “napady bandyckie” w których straciło życie 11 Niemców, okupanci spalili wieś Szaulicze rozstrzeliwując wszystkich jej mieszkańców. Rozstrzelano również niewiadomą bliżej liczbę mieszkańców Białegostoku oraz 50 osób ze wsi Wasilków. Polskie Lidice, które niestety u nas powtarzają się, jakże często, jak bardzo często! Obwieszczenie o tym odwecie podpisał miejscowy dowódca policji. Nie ma więc wątpliwości. . . .

Na dodatek we wszystkich miastach powiatowych rozstrzelano po 19 osób ze środowisk lekarzy, adwokatów, urzędników miejskich i nauczycieli wraz z rodzinami.

KONTR-TERROR

W odpowiedzi na to Polska Armia Podziemna zrównała z ziemią wieś obsadzoną przez kolonistów niemieckich. Owe “napady bandyckie,” o których mówili Niemcy, nie miały nic wspólnego ze zorganizowaną akcją polityczną i posłużyły za pretekst do jeszcze jednego kroku na drodze niszczenia Polaków. Za to wykonawców spotkała kara. Spotka także wszystkich innych, prędzej czy później.

Inny podobny przykład zaczerpnięty z polskiej prasy podziemnej. “Biuletyn Informacyjny,” najbardziej popularne pismo podziemne wychodzące w nakładzie ponad 20,000 egzemplarzy w numerze z 23.VI.43 r. donosi: “W pierwszych dniach czerwca Niemcy otoczyli wieś Sochy pod Zwierzyńcem, poczym samoloty rzuciły bomby kruszące i zapalające. Do uciekających strzelano z karabinów maszynowych. Z 360 mieszkańców wioski ocalało 20. Podobny los spotkał wieś Szarajówkę /gmina Potok, pow. biłgorajski/, gdzie ekspedycja karna wymordowała ponad 100 mężczyzn, kobiet i dzieci. Wieś Józefów w tym powiecie została zniszczona i spalona, a ludność wyginęła” . . .

Tenże “Biuletyn Informacyjny” z 1.VIII.43 r. donosi o kontrakcji polskiej w odwecie za powyższą masakrę: “Władza wymyka się z rąk. Terror nie skutkuje przeciwko poczynaniom dywersyjnym. W odwecie za masakrę wsi Sochy — o czym donosiliśmy w poprzednim B.I. — została spalona przez oddziały Polski Podziemnej wzorowa wieś osadników niemieckich Siedliska /gmina Mokre, pow. zamojski/. Spłonęło 140 zagród, padło 60 Niemców — akcję przeprowadzono bez strat własnych. Zaalarmowany garnizon zamojski odmówił przybycia.

Wobec szczupłości policji, słynny Globocnik urząda karną ekspedycję złożoną z urzędników, których uzbroił i umundurował. Wyprawa ruszyła z Lublina do lasów na południu Lubelszczyzny /pow. Zamojski, Biłgorajski, Janowski/. Jak dotąd brak wiadomości o jej wynikach.

Tego rodzaju kontr-akcja jest absolutnie konieczna zarówno ze względu na samopoczucie ludności polskiej, która w niej widzi pośrednią obronę przed gwałtem i bezprawiem, jak i ze względu na wytwarzaną w ten sposób psychozę strachu i niepewności wśród nasyłanych masowo na ziemie polskie kolonistów niemieckich. Dostają oni od państwa w prezencie domy i ziemie należące do Polaków, których wyrzuca się bezceremonialnie i brutalnie. Jest dowodem wielkiej łaski, gdy nowy właściciel pozwala staremu pozostać w roli służącego.

Armia Krajowa, wykonuje zadania bojowe tego rodzaju jak przytoczone poprzednio, rozumiejąc, że stanowią one wkład do wysiłku wojennego Sprzymierzonych, że osłabiają Niemców, a wzmacniają wewnętrzny front oporu polskiego. Dziś, kiedy Niemcy wiedzą, że za wieś polską pójdzie niemiecka, namyślą się dwa razy zanim wydadzą podobne zarządzenie. A to już jest skutek.

ZYGMUNT NAGÓRSKI, jr.

"Bodajeś cudze dzieci uczył!"

List do Władka, prezesa Klubu Pesymistów na temat: Blaski i nędze życia instruktora pilotażu





. . . Powiadasz z właściwym sobie cynizmem: "I tak ich niczego nie nauczysz!" i doradzasz metodę tego instruktora, który, biorąc ucznia do maszyny na pierwszy lot, leciał nad miejscowy cmentarz i grobowym basem huczał:—"Tu leżą moi uczniowie."

Dobrze Ci z lekkim sercem drwić z przyjaciela, bo sam "na trawkę" poszedłeś do *operations room* i jako "kontroler" wodzisz zbłąkanych kolegów po niebie, podając szczególnie fałszywe kursy przeciwnikom z obozu optymistów. I z okrutnym uśmiechem zapytujesz, jak ja się czuję "na odpoczynku" w roli instruktora pilotażu.

Mój drogi, wiesz, że nie lękałem się pracy, idąc "na odpoczynek," bo nie czułem się zmęczony. A dziś nie dlatego tęsknię do Dywizjonu, że tam jest mniej pracy; nie dlatego, że mają lepszą kuchnię, więcej urlopów, benzynę do samochodów; nie dlatego, broń Boże, że są odwiedzani przez dostojników, wzmiankowani w rozkazach, opisywani w prasie. Tęsknię do Dywizjonu po prostu dlatego, bo to NIE byli ludzie obcy; każdy z nich był mi bliski i drogi. Tęsknię do kolegów, do młodych, pogodnych, życzliwych twarzy; do mechaników, którzy serce wkładali w swoją robotę, żeby mi zapewnić bezpieczeństwo i wygodę, i z radością witali mnie po locie. Tęsknię do dowódcy, który był moim opiekunem i przyjacielem, a nie administratorem i dozorcą.

Pamiętam, jak pierwszy raz zameldowałem mu się po przybyciu do Dywizjonu. "Hrabia Oleś" wziął mnie do swego pokoju, gdzie z groźną miną ostrzegał mnie, jak bardzo jest wymagający i surowy wobec podwładnych. Nagle do pokoju wpadli dwaj "podwładni," rzucili się na "Hrabiego Olesia" i zaczęli się razem tarzać po podłodze z nieopisanym hałasem. Początkowo próbował im wytłumaczyć, że ma "poważną" rozmowę, ale w końcu zrezygnował i śmieliśmy się wszyscy.—

Jakże cudownym darem jest dyscyplina, ukryta w charakterze, a nie manifestowana w mięśniach, sprężonych na baczność: nie było wypadku, żeby ktoś o minutę spóźnił się do *readiness*, żeby zawiódł w locie, lub nie wykonał zadania. I skąd się to brało, jeśli nie było śladu napomnień, "podkręcania," ostrzeżeń? Gdyby dowódca powiedział:—"A nie spóźnić się jutro do *readiness*!"—brzmiało by to tak dziwnie, jak:—"A nie zapomnieć wylądować po locie!" Dyscyplina naszej służby była czymś tak oczywistym, a nie zwracającym uwagi, jak oddychanie.

Dziś dopiero muszę się zastanawiać, dlaczego tam wszystko "grało," dlaczego tam nie było zgrzytów, szeptów za plecami, ukrytych antypatyj, obłudnych uśmiechów, zdradliwej uprzejmości; dlaczego tam tak sobie ułatwiali życie, kiedy przecież tak łatwo można je utrudnić. Przyszedłem kiedyś do dowódcy *flight*'u i powiadam:—"Mam wielką prośbę, czy mógłbym mój urlop na następny miesiąc wykorzystać teraz, bo tak się właśnie złożyło, że . . ." —"Ee, wielka prośba—przerwał mi—bałem się, że chcesz pożyczyć pięć szylingów." I na poczekaniu przestawił mój urlop na "wykresie."

A propos urlopu: właśnie ostatni spędziłem u nich. W Drinkholt,* uważasz. Dziwnie się czułem, podchodząc o zmroku do bramy, od której miał paść znany okrzyk:—"*Halt! Who goes there?*" Ale zamiast tego usłyszałem:—"*Oh, good evening, sir, are you back with us?*"

Nie, nie byłem z powrotem z nimi—nie można powracać, jeśli się nie odeszło, a ja ani na cal nie odszedłem od Zdzicha, Leszka, Antka, Boba, Staszka, Marianka . . . Wszystko, co dla nich bliskie, ważne, drogie, pozostało i mnie bliskie, ważne, drogie. Bolało mnie serce nad sercowymi bólami Leszka i swędził mnie świerzb, na który cierpiał Zdzich. Nie trzeba dodawać, że w aucie Zdzicha czułem się jak we własnym. Właśnie tym autem odwożony na stację, gdy po urlopie przyszło wracać z Drinkholt do Torturton, myślałem nad tym, że ja właściwie nie *wracam* nigdzie, tylko znowu od nich odjeżdżam, znowu z nimi się rozstaję aż do następnego urlopu.

Pewnie myślisz, Władeczku, że te łzy, które przed Tobą tu wylewam,—to wstęp do zapisania się na członka Klubu Pesymistów. Otóż, mój drogi, pamiętaj, że urodzony i niepoprawny optymista, jakim jestem i pozostanę mimo całego uznania i zrozumienia postawy, reprezentowanej przez Twój Klub, optymista, powiadam, zawsze naprzód wylicza nędze, a blaski odkłada na deser. Nazywa się to: "psychologiczny ciąg rosnący."

Nie uwierzysz, ile jasnych i ciepłych blasków może opromienić pracę instruktorską; jak łatwo własne, wewnątrz rodzące się zadowolenie stępia tamte, w gruncie rzeczy mało ważne ciernie wpinane z zewnątrz.

Bo praca instruktorska—to jest dzielenie się, obdarowywanie ludzi czymś, co jest naprawdę moje, wewnętrzne, własne. Widzisz, jeżeli ja głodnemu dam chleba lub szylinga, to dałem mu coś, co miałem w kieszeni, lub w śpiżarni—nie coś, co miałem w duszy. A jeżeli tych chłopców nauczyłem latać, to przecież podzieliłem się z nimi moją najwłaśniejszą własnością, czymś, co mam w rękach, w nogach, a przede wszystkim—w głowie. No i w sercu.

A pomyśl tylko, jak bardzo tego potrzebują, jacy spragnieni tej wiedzy, czy umiejętności są tacy chłopcy, którym ja mam "skrzydła przypiąć u ramion" /jakże trafna przenośnia!/. Toż oni marzą o lataniu, i to o tym "myśliwskim" lataniu. Więc czy może być większa radość i chluba, niż dzielenie się tym, co moje własne, z takim, który tego potrzebuje i pragnie?!

To jest tak, jak bym komuś cząstkę duszy mej oddawał, albo, jak bym cząstkę jego duszy urabiał na obraz i podobieństwo moje. To ludzi wiąże, silniej, niż okoliczności zewnętrzne—jadanie przy jednym stole, lub mieszkanie w jednym pokoju.

Więc nic dziwnego, że Genio, który był moim uczniem, jest mi dziś może bliższy, niż tacy, którzy byli moimi kolegami. I na pewno wcale nie dlatego, że Genio był as! A, że as był, to fakt. Każdy lot z nim to był prawdziwy *fun*. Prócz przyjemności samego latania miało się zawsze przyjemność pewności, że można mu ufać w powietrzu, że nie straci głowy i nie zawiedzie w nieoczekiwanej sytuacji. A kiedy pokazać mu było nowe ćwiczenie, uczył się tak szybko, tak pojętnie, że czuło się nie tylko ogromną satysfakcję, ale — wdzięczność, tak, wdzięczność. Okazuje się, że wdzięczny może być i instruktor uczniowi.

Jeszcze zanim Genio stał się moją pociechą, miałem dwóch uczniów "Amerykańców" — z pochodzenia Polaków, ale trzeba było ich instruować po angielsku, bo ich polszczyzna była jeszcze w powijakach. /Pozdrowienia, przesłane na karcie, zakończyli kiedyś tajemniczym słowem "CHOŁE!" co "okazało się być" intencją napisania: Czołem!/. Ich imiona, lub raczej przezwiska, /w Stanach używa się zawsze przezwiska,—wytłumaczyli mi/ były: "Buzz" i "Kuch."

Buzz był ode mnie wyższy o dwie głowy, a Kuch wyższy od Buzz'a o głowę Poczucie niższości dokuczało mi szczególnie w tylnym siedzeniu instruktorskim, bo widoczność do przodu z takim uczniem była fatalna, — "*blind flying*," można powiedzieć. Ale obaj byli uważni i tylko raz podczas niskiego lotu z Buzz'em omal nie wpadliśmy na "Wellingtona," który nam nagle wyszedł spod skrzydła.—"*Did you see him, Sir?*"— zapytał Buzz po zrobieniu szybkiego uniku. — "*No*, — powiedziałem szczerze — *did you?*" — "*I didn't* — stwierdził pogodnie Buzz — *but perhaps he did see us.*"

Kiedy po ukończeniu kursu obaj przyszli złożyć mi pożegnalną wizytę, Buzz ofiarował mi piękne pudełko amerykańskiego tytoniu, a Kuch — olbrzymie cygaro. Bardzo mnie wzruszyli. Oczywiście wzruszony byłbym jeszcze bardziej, gdybym palił.

Teraz obaj są w Stanach i piszą długie, miłe listy. Łatwiej mi nawet czytać ich, niż słuchać, bo wymowę mieli rasowo amerykańską, "*From Oxford*" brzmiało: "*Fram Axford*," a "*twenty*" w polskiej pisowni było by: "łony." Mimo to rozumieliśmy się i już zawsze będziemy rozumieć się doskonale.

A czy nie było radością patrzeć na Daniela, jak porastał w pierze i z trwożliwego pisklęcia przeobrażał się w silnego, samodzielnego i — sprytnego ptaszka? Daniel, kiedy pierwszy raz dosiadł tych ośmiuset koni, poczuł w sercu trwogę i zwątpienie. Ale nie dał za wygraną. Tylko, kiedy mu na początku coś nie wychodziło — kręcił głową. To był znak, że już nie trzeba mu było zwracać uwagi na błąd. Kiedy nabrał za dużo wysokości lub zeszedł z kierunku, albo z szybkościami miał kłopoty, a ja otwierałem właśnie mikrofon, żeby mu naurągać, Daniel kręcił głową, wobec czego mikrofon można było wyłączyć. Czasem nie spostrzegłem, że coś sknocił, dopiero po tragicznym ruchu głowy orientowałem się, że coś musi być nie w porządku. /Wniosek dla uczniów: nie kręć głową, póki nie jesteś pewien, że instruktor już wie/.

Ale Daniel uczył się szybko i nie powtarzał błędów, jak inny uczeń, który w rundzie zawsze tracił trzysta stóp w skręcie, — "Panie — tłumaczy mu instruktor — ma pan mieć tysiąc stóp po skręcie, a nie siedemset?" — "A to, panie instruktorze — zaproponował tamten rezolutnie — to ja będę przed skrętem wchodził na tysiąc trzysta stóp?" —

To mi przypomina czasy, kiedy ja sam byłem uczniem i miałem starego, wytrawnego instruktora, który posiadał ogromnie bogaty słownik i lubił dłuższe przypowieści w powietrzu. W tej sytuacji n.p. powiedziałby: — "Gdybym moją babkę, co ma osiemdziesiąt cztery lata, wziął na dziesięć dubli, to by lepiej ten skręt zrobiła, niż ty, stara . . . fujaro za piecem."

Obecnie klimat angielski złagodził dawne, ostre formy instruowania. I uczniowie są dziś wrażliwsi. Antek, mój kolega po fachu, miał tak lękliwego ucznia, że kiedy w czasie przelotu krzyknął mu: — "Trzymaj kurs!" — tamten natychmiast zrobił pół beczki. Potem Antek takie polecenia wydawał mu w sposób następujący: najpierw kilkakrotnie chrząkał tonem możliwie łagodnym, potem pojednawczo odzywał się: — "Hallo, czy pan mnie słyszy? — to dobrze, to bardzo dobrze, to może pan zechce łaskawie powrócić na kurs, z którego pan zeszedł o czterdzieści stopni, bo cię wyrzucę won z maszyny, ty tumanie." etc., etc.

Rozumiesz na pewno, mój drogi, dlaczego praca instruktorska kosztuje tyle nerwów: bo ja jestem odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale przede wszystkim za niego — ucznia. Jestem odpowiedzialny za jego życie nie tylko, kiedy z nim lecę, ale i wtedy, kiedy on sam leci. Nie tylko teraz, podczas kursu, ale i poźniej, kiedy będzie samodzielnym pilotem, i po wszystkie czasy jego latania, bo w każdym jego dobrym locie część będzie moją zasługą, a w każdym jego złym locie część będzie moim błędem.

Pamiętasz, jak jest "uczeń" po angielsku? — "*pupil.*" Ten wyraz znaczy też i: źrenica. Podoba mi się to *double meaning*. Czyż nie muszę dbać o ucznia, jak o źrenicę oka, osłaniać, póki niedoświadczony, przed niespodziankami powietrza i maszyny, chronić poprzez naukę latania przed błędami, które mógłby życiem przypłacić, uczyć go — patrzeć i widzieć?

Oh, oh, rozczulam się, a i tak Cię nie wzruszę, stary cyniku. Ale wcale nie chciałem Cię wzruszyć, tylko zrobić Ci na złość, upewniając, że jestem w dalszym ciągu niewzruszonym optymistą. *Keep smiling and — Cheerio!*

Twój

P.S.—I właśnie jako optymista nie tracę nadziei, że przecież, prędzej czy później, spotkamy się jeszcze w Dywizjonie.

GUSTAW NIERAD

* Ta nazwa i inne w tym artykule—zmyślone.

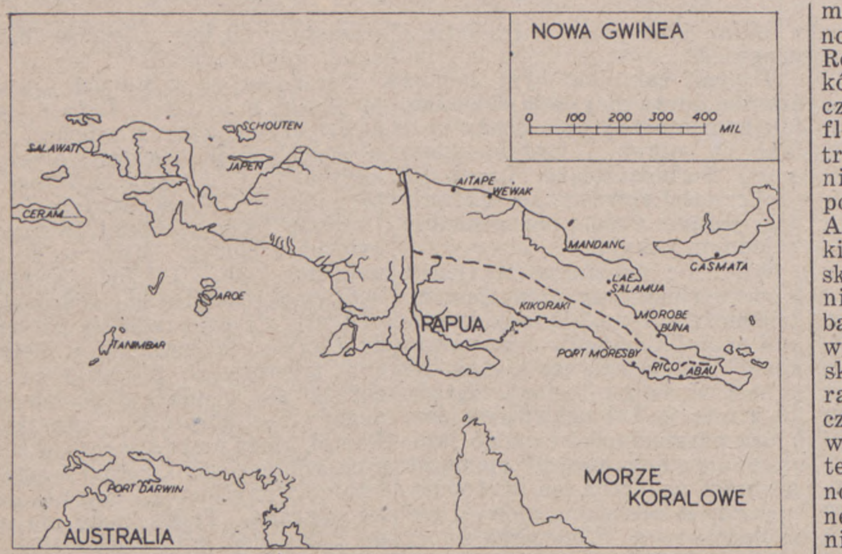
Z podróży Naczelnego Wodza na Wschód

Generał Sosnkowski u najmłodszych Polaków w Nazarecie dnia 19. listopada ub. r.



Wojna na Pacyfiku

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")



Pragnąc nieco obszerniej opisać dzieje wojny na Pacyfiku, rozpocząć muszę od kilku uwag ogólnych. Pierwsza, którą chciałbym podkreślić ze szczególnym naciskiem, to fakt, że nie jestem znawcą strategii, piszę zatem wszystko bez teoretycznego przygotowania. Druga, — że z wielu przyczyn nie zdołałem dotychczas odbyć objazdu frontów, opisy i uwagi oparte będą siłą rzeczy na opisach i rozmowach osób, które były na frontach walki — czy też takich, które znają się lepiej na sprawach wojskowych.

Wiele dziwić musi czytelników polskich, przyzwyczajonych do dość znacznej szybkości w nowoczesnej wojnie, gdy czytają komunikaty wojenne z Nowej Gwinei lub z wysp Pacyfiku. To zdziwienie ustaje, jeśli sobie uświadomić, jak wielkie trudności piętrzą się przed wojskami alianckimi w tym teatrze operacji wojennych.

Sceptyczny czytelnik, który sam może przez niejeden front w tej wojnie przeszedł, zapyta: "Dlaczego tropiki Nowej Gwinei są terenem, trudniejszym, niż gorące piaski Libii, dlaczego zdobycie Guadalkanal jest wyczynem większym od zdobycia Narwiku, czy obrony Tobruku?" Postaram się na to odpowiedzieć zanim przejdę do obszerniejszego opisu kampanii o Nową Gwineę.

Uważam, że nawet zdjęcia fotograficzne nie dają pojęcia o piekle, przez które przechodzą, w którym trwają żołnierze australijscy, amerykańscy przez cały czas działań wojennych. Najbliżej stosunkowo prawdy są filmy dokumentarne.

Akcje bezpośrednie, spotkania z wrogiem i patrole — to jedynie drobny wycinek z życia żołnierza w Nowej Gwinei. Ale ten drobny wycinek ciąży na nim stale gdyż w gąszczu dżungli tropikalnej niebezpieczeństwo czyha na niego stale, w każdej minucie dnia i nocy. Czołgając się w lepkich bagnach, czy przebijając się przez zarośla i gęstwiny traw tropikalnych, czy wreszcie ucinając sobie drzemkę w cieniu drzew, przygotowany być musi, iż za każdym krokiem, za każdą nierównością terenu czai się wróg, kryje się zasadzka. Żołnierz przygotowany być musi na świst kuli, nie wiedząc, skąd ona idzie i dla kogo jest przeznaczona.

Nie ma chyba miejsca na świecie, gdzie tak biegunowe różnice przyrody i klimatu sąsiadują ze sobą "o miedzę." Niziny nadbrzeżne, gdzie nie można odetchnąć "kroplą powietrza" i szczyty górskie, gdzie wieją tak przejmujące wiatry, że tubylcy się obawiają do nich zbliżać.

Wielką część przeciwności terenowych i klimatycznych usunęło odpowiednie zastosowanie transportu lotniczego, który docierał i dostarczał armat i sprzętu zmotoryzowanego tam, gdzie nie prowadziły żadne drogi. Mimo to jednak dżungla nie została pokonana. Żołnierz walczący na froncie europejskim wie, że w większości wypadków podążać będzie drogą, wie, że może zawsze liczyć na osiedle ludzkie, by zaspokoić głód czy pragnienie. Żołnierze alianccy walczący w gęstwinie dżungli wiedzą, iż nie ma opodal schronienia, wiedzą, iż w zupełności zdani są na własne siły.

O ile jeszcze na tyłach żołnierze mogą wypocząć, widzieć film wyświetlany w zaimprowizowanym kinie — o tyle bliżej frontu jest zupełnie inaczej. Żołnierze wychodzący na lekkie patrole wiedzą, że zapuszczają się w gęstwinę, w której roi się od "synów słońca." A jednak wychodzą te patrole, zabierając ze sobą kilka puszek "bully beef" i paczkę biszkoptów, wychodzą operując mapą, gdzie wytyczone drogi mogły były w międzyczasie zarosnąć trawą.

Żołnierz zdaje sobie dokładnie sprawę, że Nowa Gwinea wymaga od niego zapłaty na każdym kroku. Pijąc wodę z rwących strumyków górskich musi używać specjalnych tabletek dezynfekujących, musi ciągle zażywać specjalne pigułki witaminowe dla uzupełnienia braku świeżej żywności, musi spożywać duże ilości soli — celem zmniejszenia ilości potu, musi przestrzegać całego szeregu przepisów dla uchronienia się od malarii, która nagminnie grasuje wśród żołnierzy w tropikach, musi nosić ochraniacze na nogach przeciw ukąszeniu i ukłuciu przynoszącemu chorobę.

W nadziei, że czytelnik polski wyrobi sobie pewne pojęcie z tego nieudolnego i "*second hand*" opisu warunków wojny w tropikach, do których zresztą zmuszony będę jeszcze nieraz powracać — przejdę nareszcie do właściwego tematu: — do omówienia dotychczasowej kampanii po tej stronie Pacyfiku.

Gdy generał MacArthur przybył do Australii w marcu 1942 z Corregidoru na Wyspach Filipińskich, zastał on Australię niemal zupełnie bezbronną. Nie było w niej wtedy ani jednej dywizji wojsk, które byłyby w ogniu, nie było sprzętu i nie było lotnictwa. Plan strategiczny przedstawiony podówczas rządowi federalnemu przewidywał oddanie bez walki Portu Darwin w północnej Australii i północnej części prowincji Queensland, co dało by Japończykom bazy lotnicze i inne do ataku na gęściej zaludnione obszary i miasta Australii. Linia obrony przebiegać miała mniej więcej wzdłuż Zwrotnika Koziorożca, 300 mil na północ od Brisbane.

Po przyjeździe generała MacArthura plan strategiczny został całkowicie zmieniony. Generał MacArthur przyjął koncepcję strategii "defensywno-ofensywnej" i przeniósł główny teren działań wojennych na wyspy na północ od Australii — przede wszystkim na Nową Gwineę. Aby przeciwdziałać dążeniom japońskim do przerwania linii komunikacyjnych, łączących Australię z jej główną, wówczas jedyną, centralą zaopatrzenia: Stanami Zjednoczonymi, co dałoby w rezultacie — zdaniem Japończyków — możność zajęcia Australii bez większego wysiłku, MacArthur przeniósł sieć lotnisk na północ i założył tam obozy dla wojska. Japończycy umacniali się na wyspach okolicznych, co najważniejsze zajęli bazę Rabaul — główną bazę wypadową i obronną dla całego obszaru.

Najdogodniejszą bazą do ataku na Australię jest oczywiście Nowa Gwinea. Wielka ta wyspa położona jest o 90 mil od Cairns /północny Queensland/, gdzie rozpoczyna się sieć wiodąca na południe do Brisbane, Sydney i Melbourne. Japończycy usadowili się na zachodnim wybrzeżu Nowej Gwinei, zajmując Lae i Salamaua, dwa małe porty na północo-zachodzie wybrzeża wyspy. Równocześnie wielka ilość posiłków ściągała do Rabaul. Z początkiem maja 1942 r. wielka flotylla okrętów wojennych, transportowców i okrętów pomocniczych wyruszyła z Rabaul na południe — kto wie czy nie do Australii. Jak się później okazało kierunek wyprawy armady japońskiej przewidywał prawdopodobnie zajęcie Port Moresby, głównej bazy alianckiej na południowym wybrzeżu Nowej Gwinei. Błyskawiczna akcja lotnictwa generała MacArthura zmusiła Japończyków do odwrotu. Szczątki wyprawy schroniły się z powrotem do Rabaul, niektóre jednostki uciekły aż do Truk, głównej bazy japońskiej na południowym Pacyfiku. W ten sposób weszła do historii Bitwa Morza Koralowego — pierwsze alianckie zwycięstwo nad Japończykami w tej wojnie.

Wśród wielu wad, które moglibyśmy naliczyć u Japończyków o jedną nie można ich pomawiać — o brak wytrwałości. Niedługo też trwało nim żołnierze Mikada przyszli do siebie i 22 lipca, kilka dni przed planowanym zajęciem Gona przez wojska australijskie — wylądowały tam oddziały japońskie pod dowództwem generała Tomatore Horii, zdobywcy Guam i Rabaul. Gona leży w odległości 120 mil w linii powietrznej od Port Moresby.

Japończycy pokonani na morzu wybrali teraz inną drogę — znacznie trudniejszą i bardziej uciążliwą — przez dżungle i góry Nowej Gwinei. Mimo że samoloty alianckie zgotowały Japończykom gorące przyjęcie, ci ostatni niezwłocznie po wylądowaniu wyruszyli w drogę. W dwa dni przebyli oni 45 mil i dotarli do Oivi /na drodze do Kodody/, gdzie po raz pierwszy zetknęli się z Australijczykami. Tak rozpoczęła się bitwa o Nową Gwineę, która pomimo świetnych zwycięstw wojsk australijskich i amerykańskich trwa nadal z nieumniejszoną siłą.

Kokoda mała wioska u podnóża pasma górskiego, przechodziła z rąk do rąk trzy razy. W czasie tych walk o Kokodę Japończycy usiłowali obejść prawą flankę Sprzymierzonych przez wysadzenie desantu w Milne Bay /na południowym skraju Nowej Gwinei. Generał MacArthur był jednak przygotowany na ten manewr wroga i zastawił pułapkę, w którą "synowie słońca" wpadli bez reszty. Po pięciu dniach cały teren operacyjny był oczyszczony z Japończyków.

Radość z powodu zwycięstw Australijczyków /pomoc amerykańskich jednostek bojowych z wyjątkiem floty i lotnictwa nie była wówczas znaczna, zresztą do tej pory główną rolę w walkach w Nowej Gwinei gra i teraz bohaterska piechota australijska przede wszystkim zaś weterani wojny na Środkowym Wschodzie/ nie trwała długo. Japończycy minęli Kokodę i wypierali Australijczyków w kierunku Port Moresby. Nowe oddziały japońskie, które wzmocniły grupę generała Horii składały się z żołnierzy 41 pułku 5 dywizji. Byli to zdobywcy Nankinu i Singapore, wojsko dobre i pewne siebie. To też posuwały się te oddziały naprzód mimo wielkich trudności terenu, mimo zażartej obrony ze strony niedoświadczonych oddziałów "*militia,*" wojska, które w żadnych walkach udziału jeszcze nie brało. Dywizje australijskie /6-ta i 7-ma, weterani pierwszej ofensywy libijskiej, walk w Grecji, na Krecie i w Syrii/, które zostały ściągnięte ze Środkowego Wschodu dla obrony ojczyzny, rzucone zostały do walki nieomal niezwłocznie po powrocie do kraju. Mimo to jednak natarcie japońskie nie ustawało i wróg znalazł się w Ioribaiva, 32 mile od Port Moresby. Australię ogarnął dobrze zrozumiany niepokój, choć lotnictwo sprzymierzone atakowało wściekle, nieomal bez przerwy.

W tym przełomowym momencie uderzył MacArthur. Wykorzystał on japońskie linie komunikacyjne długie i stale atakowane, które spowodowały iż Japończycy musieli się żywić nadgniłymi lub zgoła dzikimi owocami. Wielu z nich potruło się, reszta zaś żyła w ciągłym strachu przed epidemią cholery. Blokada powietrzna zdezorganizowała japońskie dostawy amunicji i żywności i zdemoralizowała tubylczych tragarzy, którzy zaczęli dezerterować.

W tej chwili skoncentrowana akcja australijskiej artylerii i manewry oskrzydlające doprowadziły Japończyków do ucieczki. Mimo, iż w pościgu za wrogiem żołnierze pozbyli się całego nieomal obciążenia, pozostawiając jeden komplet do jedzenia na dwóch żołnierzy a jeden przyrząd do golenia i ręcznik na trzech, decydującym czynnikiem w powodzeniu tych operacji była pomoc Papuasów — tragarzy oraz dostawa żywności i amunicji samolotami transportowymi.

W połowie drogi powrotnej przez przełęcz Templetona Japończycy zaczęli stawiać zaciekły opór, który kosztował wiele ofiar po obu stronach. Dopiero jednak w Divi 5 mil za Kokodą, Japończycy okopali się i bronili tak zaciekle, że trzeba było przeprowadzić oskrzydlający manewr koło Gorari, by opór ich złamać. Koło Gorari wybito 790 Japończyków w pół godziny. Kilka mil dalej w Wairopi spotkała Japończyków nowa klęska. Lotnictwo alianckie uniemożliwiło przerzucenie mostu przez wezbraną rzekę Kumusi i wielu żołnierzy Mikada potonęło.

Uciekający Japończycy raz jeszcze usiłowali stawić opór Australijczykom i Amerykanom pod Soguta, skąd jednak zostali wyparci w kierunku Bunt, Gona i Sananda, Do tych trzech punktów na wybrzeżu zaczęły również napływać posiłki mimo stałych patroli lotnictwa generała Kenneya.

Japończycy rozmieścili się wzdłuż łuku o długości 15 mil i odległego od wybrzeża mniej więcej 5 mil. Łuk ten rozpoczynał się na północny wschód od Gona i docierał do przylądku Enaiandere na południowym zachodzie. Rozpadliny i moczary dzielą ten obszar na trzy odcinki Bona /na lewo/, Sananda /w środku/ i Buna /na prawo/, kończące się przylądkiem Enaiandere. Japończycy obsadzili każdą piędź suchego ądu, umieszczając doskonale zamaskowane c.k.m.'y i moździerze przy każdej najdrobniejszej dróżce i przejściu. Każdy manewr oskrzydający wymagał przejścia przez głębokie bagna. Japończycy nadto wykarczowali drzewa i wybudowali dość silne fortyfikacje i umocnienia również doskonale ukryte zarówno przed obserwacją z powietrza, jak i z stałego lądu. Wszystko to składało się na to, iż atak na owe trzy punkty był ciężką próbą zarówno dla australijskich weteranów, jak i amerykańskich nowicjuszów.

17 listopada 1942 rozpoczęły oddziały Australijczyków atak na Gonę dając dowody niezwykłego, przysłowiowego bohaterstwa i brawury. Weterani z Syrii, Libii i Krety walczyli desperacko, atakując na bagnety raz po razie. Jednego razu n.p. 21 Australijczyków zgłosiło się na ochotnika do ataku na umocnienia, w których 19 Japończyków dysponowało 3 c.k.m.-ami i 10 r.k.m.-ami. Przed umocnieniem tym rozpościerała się odsłonięta równina na przestrzeni 50 metrów. Ochotnicy obliczyli, iż wystarczy jeśli 6 z nich przedostanie się, by posterunek zdobyć. Przeszło 9 . . . .

Po dwóch tygodniach tych nadludzkich wysiłków i bezlitosnych zmagań, gdy ostatni Japończycy dostali swą porcję ołowiu — Gona została zdobyta. Jeńców nie było, na polu pozostało 1.000 trupów.

Równocześnie z walką o Gonę transporty generała Kenneya dowoziły Amerykanów w bezpośrednie sąsiedztwo Buny. Samoloty przewiozły 32 Dywizję i przeszło milion ton zapasów i sprzętu /w tym artylerię/. W dwa dni po otwarciu ataku na Gonę, Amerykanie uderzyli na Bunę. Warunki terenowe nie różniły się od warunków na odcinku północnym, garnizon był jednak wiele razy, silniejszy. Nic też dziwnego że pierwsze natarcia niezahartowanych w boju oddziałów nie przyniosły spodziewanych rezultatów.

Po dwóch tygodniach potyczek dowództwo nad wojskami amerykańskimi objął generał Eichelberger. Był to doświadczony dowódca, były komendant Akademii Wojennej w West Point, który natchnął żołnierzy świeżym duchem. Idąc zawsze w pierwszym szeregu, nie unikając kul — generał Eichelberger po dwóch dniach pobytu na froncie wznowił ofensywę tym razem ze znacznie pomyślniejszym skutkiem.

W walkach tych okrył się nieśmiertelną chwałą sierżant Herman Botcher, emigrant polityczny z Niemiec i b. żołnierz Republikańskiej Armii w Hiszpanii, który przebił się na czele 12 ludzi przez japońskie fortyfikacje i otworzył drogę wojsku. Sierżant Botcher awansował na placu boju na kapitana. Amerykanie zaś zajęli 14 grudnia w i e ś Buna. Nie był to jednak koniec walk na tym odcinku. Japończycy przysłali posiłki i walka z nimi /a także z malarią/ trwała do 3 stycznia, gdy padły zabudowania m i s j i Buna. Jak i poprzednio jeńców nie było . . .

Inne oddziały 32 Dywizji atakowały przylądek Endaiadere od 19 listopada. Po "przyleceniu" silnych posiłków piechoty i artylerii australijskiej teren został oczyszczony od wroga w drugiej połowie grudnia. Był to pierwszy wypadek usunięcia Japończyków z umocnionych pozycji, które sami sobie obrali.

Rok 1943 zastał Japończyków umocnionych w jednym tylko punkcie tego obszaru na 4 mile wgłąb lądu i 2 mile wzdłuż wybrzeża w okolicy Sananandа. Choć przerwy w walkach trwały około 7 tygodni to jednak Amerykanie i Australijczycy zdołali uprzednio przebić szereg dróżek w dżungli i zorganizować lekkie patrole. Spowodowało to zresztą całkowite pomieszanie pozycji własnych i wrogich i brak ustalonej linii frontu.

W połowie stycznia, w trzy dni po nieudanym natarciu australijskim na pozycje wroga, wizytujący front generał Eichelberger zauważył wzmocnioną działalność moździerzy japońskich. Nie zgadzało się to logicznie z chłodną, obiektywną oceną sytuacji i stosunku sił, by ostrzeliwanie japońskie mogło oznaczać przygotowanie do natarcia. Musiało to zatem oznaczać osłonę odwrotu. Ocenę tę potwierdzili jeńcy. Australijczycy niezwłocznie rozpoczęli wzmożony ogień i ruszyli do ataku. Po przełamaniu słabego oporu Australijczycy znaleźli się na tyłach pozycji nieprzyjacielskich. Równocześnie uderzyli Amerykanie, którzy dokończyli dzieła. Niedobitki japońskie wraz z dowódcą, gen Yamagata i jego sztabem /który wbrew zasadom kodeksu "Bushido" stoczył regularną bitwę we własnym gronie o kilka tratw/ uciekły z pola. Straty japońskie tego dnia wyniosły 525 zabitych. Amerykanie stracili 1 zabitego i 3 rannych. Tak zakończyła się "Bitwa o plażę" — pierwsza faza zwycięskiej kontrofensywy generała MacArthura.

Straty w ludziach ogłoszone 15 kwietnia 1943 przez Kwaterę Główną generała MacArthura — wyniosły: Alianci 4.554 zabitych i zaginionych, 5.977 rannych; Japończycy 38.000 zabitych /z czego 15.000 zatonęło w wyniku jednego nalotu na konwój japoński w marcu u.r./.

Od czasu zakończenia pierwszej fazy kontrofensywy do dnia dzisiejszego sytuacja na frontach południowo — zachodniego i południowego Pacyfiku poprawiła się znacznie do tego stopnia, iż premier Curtin mógł po konferencji z generałem MacArthurem w czerwcu u.r. ogłosić, że Australii nie grozi już inwazja japońska w tej mierze co dotychczas. Od czasu zakończenia pierwszej fazy wiele krwi polało się przy zdobywaniu dalszych umocnień japońskich na Nowej Gwinei i na wyspach Południowego Pacyfiku.

Szczegółowy opis tych walk zostawiam na później.

RYSZARD KRYGIER

Książki o wojsku i wojnie

Książka spóźniona o trzy lata

Album podhalański* jest nadzwyczaj efektownym wydawnictwem. Piękny papier, mnóstwo zdjęć, ładny druk, gustowne rozplanowanie. Zewnętrznie album wygląda doskonale i jest naprawdę książką reprezentacyjną, która ozdobi każdy salon. Jednak gdy się nań patrzy nie tylko jako na dzieło sztuki wydawniczej, nasuwają się mniej pochlebne refleksje. Zaraz je tu wyłożymy.

TRZYLETNIE SPÓŹNIENIE

Trzy lata temu udział Podhalan w kampanii o Narwik był niewątpliwie dobrym atutem propagandowym. Wtedy było to sensacyjne i egzotyczne. Wtedy Niemcy byli niepokonani i najmniejszy nad nimi sukces cieszył i interesował. Wtedy album podhalański spełniałby swą rolę w stu procentach.

Dziś jest całkiem inaczej. Kampania norweska poszarzała, wyblakła, zmalała, poszła w zapomnienie. . . Tyle było odtąd większych, ciekawszych, donioślejszych bitew, że na rozpamiętywanie Narwiku nikt już nie ma zdrowia. Dziś nie chwyciłby album o walkach Polaków w Libii jako przestarzały. Cóż dopiero o Norwegii!

Na domiar Narwik stracił swą egzotyczność! Polacy tam byli! No to cóż takiego nadzwyczajnego? Australijczycy zdobywali Dernę, Nowozelandczycy bronili Krety, Francuzi bili się pod Bir Hakeim, Hindusi szturmowali Benghazi, Szkoci wkraczali do Trypolisu, Kanadyjczycy lądowali na Sycylii, Amerykanie walczą we Włoszech i na Nowej Gwinei i w Chinach i na jakichś wyspach koło Kamczatki . . . Anglikom, których jeden znajomy zginął w Grecji, drugi dostał się do niewoli w Burmie, trzeci uciekł z Leros, czwarty zdobywał Wezuwiusz a piąty stacjonował na Szpicbergu — też obecność Polaków w Norwegii nie zaimponuje. Wojna światowa to znaczy nie tylko, że na całym świecie walczą, ale to, że najmniej spodziewani ludzie znajdują się w najbardziej dziwacznych miejscach.

Pod względem propagandowym album o czynach Podhalan jest zatem pozycją spóźnioną o trzy lata.

ZA DUŻO OFICJALNOŚCI

Na odwrocie albumu czytamy: "Nie są to zdjęcia oficjalne. Przedstawione tutaj sceny fotografowali w wolnych chwilach sami żołnierze. . . ."

Nie wyszło to albumowi na dobre. Reporter-fotograf robi zdjęcia, kiedy warto, kiedy się dzieje coś ciekawego. Żołnierz-amator fotografuje, kiedy mu się chce, kiedy nic innego nie ma do roboty czyli przeważnie kiedy nic się ważnego nie dzieje. Zawodowy reporter polezie z narażeniem życia w ogień, będzie stał pod bombami—byle uchwycić dobry moment. Amatorowi ani to w głowie. On fotografuje dla swojej przyjemności, a pchać się w niebezpieczeństwo nie jest żadną przyjemnością.

Widzimy ciągle w pismach wspaniałe zdjęcia reporterów angielskich i amerykańskich. Pokazują nam oni wojnę naprawdę. Podhalanie też bili się naprawdę, ale z albumu ich trudno się tego domyślić. Fotografii nabożeństw jest 8, ale nie ma ani jednej strzelania z ckm-u. Były przecie szarże na bagnety, rzuty granatami, zwiady motocyklowe, wspinanie się po skałach. . . . Darmo tego szukać w albumie. Jest 10 zdjęć z defilad, nie ma zdjęcia kompanii idącej do ataku. Na 11 zdjęciach jest jedzenie zupy, ale trup jest tylko na jednym. Na 46 zdjęciach jest postawa na baczność, tylko na 5 daleki pożar i wszystkiego na jednym—bardzo złym na domiar—wybuch bomby. Jest 37 grupek wyraźnie pozujących, wybałuszonych do aparatu, jak wycieczkowicze na Bielanach, lecz tylko jeden ranny. Nawet grobów polskich, choć to mało ruchliwe obiekty nie ma wyrazistej fotografii.

Denerwująca jest przewaga zdjęć właśnie "oficjalnych." Takim szablonowym uroczystościom w Malestrict, gdzie Brygada otrzymała sztandar poświęcono cały rozdział, pełne 22 zdjęcia. Potem "pożegnanie ziemi francuskiej" — znowu cały rozdział, znowu 15 zdjęć. Przy dekoracji sztandaru "Virtuti Militari" w Douglas machnięto aż 28 zdjęć. Najokazalsza defilada, najsprężystsze zdawanie raportu, najszumniejsza uroczystość zawsze mniej ważą w dziejach jednostki bojowej, niż sam bój. Dysproporcja parady i salutowania z akcją i walką jest w albumie rażąca.

Potrzeba fachowych korespondentów wojennych—fotografów, oto co przebija z każdej karty tego albumu.

WADLIWOŚĆ TEKSTU

Tekstu jest mało i trzeba przyznać, że był trudny do zredagowania. Nie można pisać pod 19-ma fotografiami defilujących oddziałów 19 razy: "Imponowali marsową postawą i świetnym wyszkoleniem. . . ."

Tam gdzie się coś naprawdę dzieje, gdzie zdjęcie chwyta swą sugestywnością—tekst jest bez zarzutu. Pod mapami, szkicami sytuacyjnymi — również. Jest krótki, rzeczowy, istotnie objaśniający. Ale co pisać pod banalnymi, nic nie znaczącymi grupkami? Co pisać przy n-tej z rzędu fotografii dygnitarzy? Tu autorzy tekstu byli bezradni i w rezultacie lapali błąd po błędzie.

Oto n. p. zdjęcie siedzących na jakimś francuskim podwórzu żołnierzy. Napis głosi: "Sama praca nie wypełni jednak żołnierskiego życia. Po ćwiczeniach są chwile wolne, a te należy poświęcić zabawie. Polskie lub francuskie rocznice narodowe dają okazję do pięknych obchodów." Odkądże to obchód jakiejś rocznicy jest dla żołnierza—zabawą? To jedna zbiórka więcej.

Albo na jednej stronicy, po sobie, kolejno, przy trzech szablonowych zdjęciach następujące takie trzy kapcje: "Podpułkownik zostaje pułkownikiem. . . ." "Porucznik otrzymuje trzecią gwiazdkę. . . ." "Szeregowiec dostaje autograf Naczelnego Wodza. . . ." Może to i prawda, ale to wygląda na kpiny. Gdybym ja napisał taką rzecz, zakrzyknięto by chórem: "O szelma, znowu szkaluje . . . . znowu przemyca złośliwości. . . ."

Tekst powinien choć trochę odnosić się do zdjęcia. Nie jest to w albumie regułą. Czytamy: "Tymczasem w cieniu starych murów bretońskich życie upływa na marszach i ćwiczeniach." I widzimy żołnierzy nalewających z kuchennych kotłów gorącą wodę! Albo: "Skoczne dźwięki harmonii odpędzają precz smutki." I widzimy grupkę żołnierzy o twarzach jak na pogrzebie. Lub: ". . . Dorniery nadlatują i eksplozje bomb brutalnie przerywają ciszę." I widzimy pustynne góry pokryte śniegiem, a pod spodem roześmiane panny z norweskimi oficerami. Ewentualnie: ". . . Tutaj żołnierze polscy niejednokrotnie musieli się przekopywać przez metrowe zaspy śnieżne." I widzimy oddzialik maszerujący wygodną szosą ze śniegiem porządnie odgarniętym na boki.

Nie brakowało bomb w Norwegii, tylko brakuje z tego zdjęć. Podobnie z tym śniegiem. II Batalion odbył 20 kilometrowy marsz na przełaj przez góry, często po pas w śniegu. Ale komu się tam wtedy chciało fotografować?

No tak, autorzy wiedzieli o ciekawszych epizodach, ale nie mieli z nich zdjęć. W rezultacie, w rozpaczy dali w albumie dramatyczny tekst do sielankowych fotografii.

Nie wiedząc już co pisać pod 35-tą z rzędu szablonową fotografią grupki, autorzy wysadzili się na taki tekst: "Nie tylko żołnierze, ale i oficerowie chętnie pozują do fotografii. . ." Sądząc po wynikach, zapewnienie to jest zupełnie zbędne.

Są też i zasadnicze omyłki tekstu. Na wstępie albumu n.p. czytamy: ". . . wojska niemieckie gen. Dietla zostały rozgromione i rozpędzone na cztery wiatry."

A w końcowym rozdziale: ". . . . Skomplikowaną operację oderwania się od nieprzyjaciela i zaokrętowania Brygady przeprowadzono 6 i 7 czerwca." Jedno przeczy drugiemu. Skoro nieprzyjaciel został rozgromiony i rozpędzony na cztery wiatry to skąd potem to trudne i skomplikowane "odrywanie się"?

Nie odpowiada też prawdzie groźne zdanie o ewakuacji Norwegii: "Cały ciężki materiał należało zniszczyć. Muły rozpędzono w góry." Wcale nie rozpędzono. Sam wracałem na statku z 300 mułami. Prowadziliśmy je potem przez Glasgow i patrzący na nas Szkoci mówili rzeczowo: "Oh, to idzie sławna polska kawaleria!"

Wreszcie razi niedbała korekta. W tak kosztownym albumie, na tak luksusowym papierze, przy minimalnej ilości tekstu, mając tyle czasu do dyspozycji, można by się spodziewać, iż błędów w ogóle nie będzie. Tymczasem są i to dość istotne. Czytamy: "Żołnierskie arsze" (zamiast marsze). Jeśli się, wie, co po niemiecku "arsz" znaczy, daje to niepożądany efekt. Przy Lourdes (które to zdjęcie jest w ogóle "ni w pięć ni w dziewięć") czytamy: "przed cudami słynącą grotą." Podhalanie płynęli do Norwegii na "Mezique" zamiast na "Mexique" i t.d.

Widocznie trzy lata, w ciągu których album był w robocie, jest za krótkim okresem czasu na przeprowadzenie starannej korekty.

ZA 100 LAT

Mimo tych usterek album jest przyjemną pamiątką dla Podhalan, zwłaszcza dla tych, którzy tam figurują. Za 100 lat, gdy już nikt, nic, nie będzie wiedział o obecnej wojnie, gdy wszystko się pomiesza i poplącze, album utwierdzi Polaków w przeświadczeniu, że epizod narwicki miał decydujące znaczenie i że Podhalanie swym ofiarnym bohaterstwem rozstrzygnęli o losach drugiej światówki.

KAROL ZBYSZEWSKI

* "Żołnierz Polski w Norwegii." Reportaż fotograficzny z bojów pod Narwikiem. Fotografie zebrał Neuman. Układ graficzny Lewitt-Him. Wydał M. J. Kolin. cena 25 sh. —To samo z tekstem angielskim.

Skrzynka pocztowa

O PROPAGANDOWE WYZYSKANIE MATERIAŁÓW O WALCE, ŻYCIU I DZIAŁANIU KRAJU

Szanowy Panie Redaktorze,

Jeżeli wolno byłoby użyć określenia zaczerpniętego z dziedziny życia gospodarczego w stosunku do zagadnień koniunktury politycznej i wahań sprawy polskiej na terenie brytyjskim, śmiało można by je porównać do t.zw. *trade cycle.*

Był okres, zapoczątkowany we wrześniu 1939 r. gdy sprawa polska stała bardzo dobrze. W tym okresie, którego punktem szczytowym był czas bitwy o Wielką Brytanię, każda wzmianka o Polsce i Polakach niejednokrotnie nawet nosząca charakter anegdotyczny była chciwie rozchwytywana przez prasę brytyjską. "*A Polish story is alway news*" — takie powiedzenie utarło się pomiędzy dziennikarzami z Fleet Street.

Nieliczne książki i broszury, które się w międzyczasie ukazały znajdowały gotowy rynek, chętnych czytelników i nie wymagały zgoła żadnych subwencji. Był to szczytowy okres naszej popularności wśród mas brytyjskich i mimo, że z powodu braku sił fachowych i nieznajomości wymagań prasy brytyjskiej, tak codziennej jak periodycznej, nie wykorzystaliśmy w pełni wszystkich możliwości — jeszcze dzisiaj ten okres prawdziwego *boom'u* na wszystko co polskie jest dla nas drogocennym kapitałem, z którego pełnymi garściami czerpać możemy.

Szybko zmieniający się jednak obraz działań wojennych usunął sprawy polskie na plan dalszy. Nastąpił okres który w życiu gospodarczym określany jest nazwą *slump.* Okres ten trwał dosyć długo, a największe jego nasilenie przypada na czas kiedy obca propaganda wytężyła wszystkie swoje siły, aby sprawy polskie na terenie brytyjskim naświetlić w sposób dla nas nieprzyjazny. W tym okresie działalność polskiego aparatu propagandowego cechuje zajęcie rzeczowego stanowiska, a swoje stanowienie polityczne opiera ona na Karcie Atlantyckiej i oświadczeniach polskich mężów stanu.

Obecnie sprawy polskie nieuniknionym biegiem wydarzeń znów wysuwają się na czoło zagadnień politycznych. Sprawy polskie znów stają się ośrodkiem zainteresowań zarówno prasy jak i społeczeństwa brytyjskiego. Moment ten jest dla nas bardzo ważny — ofiaruje on nam możność wykorzystania uwagi skierowanej w tej chwili głównie na Polskę. Moment ten nie jest tylko przejściowym ożywieniem wywołanym przez podpisanie paktu czesko — sowiekiego itd. Jest konsekwentnym wynikiem zbliżania się linii frontu wschodniego do granic Rzeczypospolitej i trwać będzie wzbierając na sile do czasu zakończenia działań wojennych.

Wstępujemy w okres nowego *boom'u* od którego wykorzystania w wielkiej mierze zależeć będzie rozwój sprawy polskiej na konferencji pokojowej i los przyszłego zwycięstwa.

Jak ten moment możemy najlepiej wykorzystać? Niewątpliwie nasze dotychczasowe wysiłki w tym kierunku zostaną zintensyfikowane. Nie chciałbym także poruszać na tym miejscu sprawy usprawnienia naszej akcji propagandowej czy też nadania jej innego kierunku. Chcę jednak zwrócić uwagę na jedną zaniedbaną dotychczas pozycję, a mianowicie udostępnienie ogółowi Brytyjczyków rezultatów pracy i myśli politycznej, społecznej i gospodarczej Kraju.

Uważny czytelnik prasy i periodyków brytyjskich łatwo spostrzeże, że najbardziej pasjonującym ogół tematem są sprawy związane z dojrzewającymi ruchami oporu w Europie. Częste i wnikliwe artykuły, roztrząsające sytuację w Jugosławii lub Grecji są tego najwymowniejszym dowodem. Także miarą zainteresowania czytelnika brytyjskiego sprawami Polski podziemnej jest imponująca ilość miejsca *news-space,* poświęcona przyjazdowi do Wielkiej Brytanii Edwarda Warszawskiego czy Wojciecha Bielaka.

Jeżeli propaganda polska potrafiła by udostępnić *bezpośrednio* czytelnikowi brytyjskiemu ogrom pracy wykonanej przez polski ruch podziemny w kierunku urządzenia świata powojennego, ugruntowania zasad sprawiedliwości społecznej i bezpieczeństwa pokoju równałoby się to walnemu zwycięstwu. Nie należałoby tego jednak robić przez przedrukowanie gotowych planów, programów czy odezw. Niewątpliwie i te spełniłyby swą rolę w odniesieniu do pewnych odłamów społeczeństwa brytyjskiego, ale nie apelowałyby do szerokich mas. Raczej właściwszą drogą byłoby zebranie opowiadań, artykułów i szarych codziennych wiadomości z terenu polskiej prasy podziemnej i wydanie ich w tłumaczeniu angielskim. Trudności w zebraniu odpowiedniego materiału nie będzie — trudna raczej będzie selekcja. Na pewno jednak powinno się znaleźć miejsce dla wybranych opowiadań z "Biedronki," artykułów z pism fachowych i rysunków z "Lipy." Komentarz będzie zbyteczny.

Autentyczność bijąca z kart takiego wydawnictwa, najlepiej w formie kieszonkowej/ Penguin?/ okaże się w najwyższym stopniu ożywcza na rynku brytyjskim zalanym makulaturą czasami najgorszego rodzaju.

Ja osobiście sądzę że tego rodzaju wydawnictwo spotkałoby się z tak entuzjastycznym przyjęciem, znalazłoby tak chętnych czytelników, iż zaistnieć może konieczność stworzenia bardziej regularnego wydawnictwa opartego na podobnych przesłankach.

Tadeusz Zahaw

WYJAŚNIENIE POLSKIEGO CZERWONEGO KRZYŻA W SPRAWIE POMOCY JEŃCOM

Szanowny Panie Redaktorze,

W nr. 50 "Polski Walczącej" z dnia 18 grudnia b.r. na str. 7 w rubryce "Skrzynka pocztowa" ukazała się korespondencja pod tytułem: "Jeńcy nie mają głosu," podpisana przez p. Aleksandra Jantę przy czym autor korespondencji oświadczył, że i poprzednio pisana korespondencja, podpisana pseudonimem "Lis" była jego pióra.

W swym ostatnim wystąpieniu p. Janta skarży się na nieudzielenie mu głosu przez przewodniczącego Zebrania Sprawozdawczego P.C.K. w dniu 6 grudnia b.r., odbytego w obecności Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, jako dostojnego gościa i protektora naszej instytucji. Prezesa Rady Ministrów, członków Rządu, Episkopatu, Rady Narodowej, przedstawicieli wielu instytucji i licznej publiczności. Autor korespondencji zdaje się jednak zapominać o tym, że wszelkie publiczne zebrania z udziałem Głowy Państwa podlegają protokółowi i zarówno wszystkie przemówienia, jak i inne punkty programu są z góry protokularnie co do czasu i kolejności przewidziane.

Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża świadom jest zarówno zadań, jakie spełniać ma w czasie wojny, jak i przeszkód, z którymi wypada mu walczyć szczególniej na obcym terenie. Celem Zebrania Sprawozdawczego było właśnie zaznajomienie szerszej publiczności polskiej z tymi trudnościami i dokonaniami, a nie bynajmniej "wywołanie wrażenia, że wszystko jest tak dobrze, że lepiej już być nie może . . .", jak to gołosłownie inkryminuje p. Janta.

Przeciwnie, Zarząd Polskiego Czerwonego Krzyża wdzięczny jest zawsze za wszelką rzeczową krytykę, a także rady i wskazówki, co do kierunku i sposobu działalności tej instytucji, z charakteru jednak Zebrania Sprawozdawczego wynikało, iż nie było ono odpowiednim momentem i miejscem do podejmowania narzuconej przez p. Jantę dyskusji. Cyfry i dane, ogłoszone w drukowanym sprawozdaniu rachunkowym, oraz przytaczane w przemówieniach poszczególnych mówców zaczerpnięte zostały z materiałów zestawionych i dostarczonych przez Międzynarodowy Czerwony Krzyż i inne najbardziej miarodajne źródła.

Jeżeli chodzi o dalsze podniesione zarzuty o charakterze rzeczowym, to:

1/ Prywatna pomoc indywidualna t.j. dla poszczególnych jeńców w porównaniu z pomocą ogólną, t.j. dla wszystkich, udzielaną przez P.C.K. stanowi jedynie jej znikomy odsetek. P.C.K. załatwia jednak wszystkie zlecenia indywidualne i służy wszelką pomocą.

2/ Z przemówienia Prezesa Zarządu Głównego wynikało jasno, że część pomocy dla jeńców była przesyłana przez Rząd Amerykański "Lease and Lend Bill," oraz inne źródła poza Czerwonym Krzyżem.

3/ Sprawozdania cyfrowe Międzynarodowego Czerwonego Krzyża co do stale wzrastającej pomocy, udzielanej przez P.C.K. jeńcom polskim w obozach niemieckich nie mogą być postawione w wątpliwość jednostronnym oświadczeniem kilku informatorów p. Janty, iż "jeżeli idzie o pomoc ze strony P.C.K. to nie wiele zmieniło się na lepsze." Tymczasem ostatnio otrzymane sprawozdanie Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie z września 1943 /przesyłki dokonane z Genewy dla jeńców polskich i dla internowanych/ wymienia: żywność —739 ton, odzież—10½ ton, art. toalet—5.4 ton, papierosy—92 ton, różne—21 ton.

Jeżeli chodzi o żywność powyższa ilość stanowi 13, 2 kg na głowę w ciągu września b.r.

4/ Zdaniem P.C.K. nie zaradziłaby sytuacji obecność "w ścisłym sztabie" czy też w "dziale jenieckim", jak to sugeruje p. Janta, "męża zaufania" jeńców, albowiem raporty mężów zaufania poszczególnych obozów i sprawozdania delegatów M.C.K. jako odpowiedzialnych instytucji działających w terenie stanowią aktualny materiał dla Zarządu Głównego P.C.K. i brane są stale pod uwagę. W tej formie jeńcy mają stale głos.

Nie zamierzając kontynuować tego rodzaju polemiki prasowej Zarząd Główny Polskiego Czerwonego Krzyża chętnie, jak i dotychczas, omawiać będzie poruszone tematy ze wszystkimi, którym działalność tej instytucji prawdziwie głęboko i poważnie leży na sercu i udzielać im będzie wszystkich wyjaśnień.

Zarząd Główny P.C.K.

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości wszystkich ofiarodawców, że z darów na "Paczki od serca" ogłoszonych w Nr 49, 50, 51—52 "Polski Walczącej" łącznie w kwocie £135.12.5 wysłano 182 paczki; 75 paczek żywnościowych, 107 paczek papierosowych a 1,000 sztuk każda. Imienna lista tych, do których paczki wysłano jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej."

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE ?
St. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT
DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT
Send for FREE SAMPLE
MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

Dla Polaków w Rosji: £10,607

Przesyłam w załączeniu 10 sh. dziesięć szylingów/ na fundusz dla dzieci polskich od Miss Hildy M. Corney, Galloway House, 46, Alexandra Road, Manchester 16.

Referat Prasy Polskiej
Min. Inf. i Dok.

* * *

Podchorążowie . . . Baonu Spadochronowego składają £2.10.0 na dzieci polskie wywiezione z Rosji Sowieckiej, zamiast urządzenia pożegnalnej herbatki z powodu odejścia dowódcy Baonu p. mjr. mgr. Janusza R. na inne stanowisko służbowe.

pchr. J. Sz.

* * *

W załączeniu przesyłam kwotę: £23.7.6. /słownie funtów angielskich dwadzieścia trzy, szylingów siedem i pensów sześć/ z przenaczeniem na "Pomoc Polakom w Rosji."

Załączona kwota pochodzi "od grona oficerów polskich z zagranicy."

Major P.

* * *

W załączeniu przesyłam kwotę £4.10.0 /słownie: cztery funty ang. i dziesięć szylingów/, które złożyły na moje ręce dzieci robotników Szkockich z rejonu Stirlingshire — Ccotland, na Fundusz Ratowania Dzieci Polskich, w podziękowaniu Zolnierzom Łączności . . . Korpusu za zabawki, specjalnie dla nich robione na św. Mikołaja i za słodycze im ofiarowane z racyj żołnierskich.

Kpt. Ludwik M.R.

* * *

Strzelec B. Antoni przesyła za pośrednictwem "Polski Walczącej" sh.10 dziesięć szylingów/ dla biednych dzieci polskich.

* * *

W załączeniu przesyłem M.O. na kwotę £7, złożoną przez żołnierzy . . . dyonu z dobrowolnych dekadowych składek w miesiącu grudniu 1943 roku, z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.

Dowódcą Dyonu kapitan M.K.

* * *

Składam sumę sh. 30 /trzydzieści szylingów/ na pomoc Polakom w Rosji.

F.J.

Wincentemu Rapackiemu, Naszemu Drogiemu Kierownikowi Wojskowemu, życzymy w dniu imienin wszystkiego najlepszego przekazując równocześnie 30 sh. na pomoc dla Polaków w Rosji.

* * *

Kochanemu Koledze Henrykowi Hausmanowi składamy najserdeczniejsze życzenia imieniowe a zamiast upominku przekazujemy 30 sh. na pomoc dla Polaków w Rosji.

Koleżanki i Koledzy z "Lwowskiej Fali"

* * *

Oficerowie, podoficerowie i szeregowcy na terenie R.A.F. Maintenance Command — na pomoc Polakom w Rosji złożyli w miesiącu listopadzie i grudniu 1943 r. kwotę £10.18.6.

* * *

1 funta na pomoc Polakom w Rosji.

"Spadochroniarz"

* * *

ŁAŃCUCH OFIAR

Bezimiennie: sh. 3.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze Ł54.19 — /słownie pięćdziesiąt cztery funty i dziewiętnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do Ł10,607,9.8½ /słownie dziesięć tysięcy sześćset siedem funtów, dziewięć szylingów, osiem i pół pensa/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich, 15 czerwieńców i 100 milrejsów brazylijskich.

Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczącej"

Uprzejmie proszę o przesłanie niżej podanych książek dla naszych żołnierzy na Bliskim Wschodzie.

Ewa Rządkowska

Załączone: Eva Curie: "Maria Curie," "Dziennik oficera sztabu," "Antologia poezji współczesnej," R. Vansittart; "Czarny rejestr," L. Bielski: "Głos z Kraju," "Jak to napisać," "Od Zagłoby do Wiecha."

* * *

KSIĄŻKI DLA JUNAKÓW

Uprzejmie proszę o przekazanie załączonych książek do biblioteki Junaków.

por. S.M.

Załączone: J. Huxley: "More Simple Science," Bidwood: "Self-protection," i 6 broszur.

Książki te przekazaliśmy Komendantowi obozu Junaków w W. Brytanii.

KOMUNIKATY

APLIKANCI ADWOKACCY

przebywający w W. Brytanii proszeni są o zakomunikowanie do dnia 31 stycznia 1944 r. swych nazwisk i adresów, szczegółowe podanie przebiegu aplikacji sądowej i adwokackiej oraz wskazanie obecnego zajęcia Stowarzyszeniu Prawników Polskich w Zjednoczonym Królestwie, Londyn, W.1. 12/13, Grafton Street.

THE WHITE EAGLE CLUB.

W dniu 22-go stycznia 1944 r. o gdz. 3 ppoł. odbędzie się przyjęcie dla 100 Brytyjskich dzieci z dzielnicy Westminster'u, których ojcowie znajdują się w Brytyjskich Siłach Zbrojnych. Po herbatce nastąpi część koncertowa oraz rozdanie prezentów.

Przyjęcie powyższe podyktowane zostało chęcią odwdzięczenia się społeczeństwu brytyjskiemu a specjalnie z dzielnicy Westminsterskiej, w której znajduje się Klub.

ODCZYT PROF. STROŃSKIEGO

Staraniem Sekcji Londyńskiej Związku Dziennikarzy R.P. odbędzie się dnia 27 stycznia o godz. 18 w lokalu Ogniska Polskiego, 45, Belgrave Square, S.W.1. odczyt prof. Stanisława Strońskiego p.t. "u progu 1944 roku"'

Dla jeńców: "paczki od serca"

Na "paczki od serca" dla jeńców polskich w Niemczech ofiaruje sh.10 /dziesięć szylingów/

Junak Stefan Petrusewicz

* * *

Na ręce szan. Redakcji przesyłam 3 funty z prośbą aby szan. Redakcja przeznaczyła: 1 funta na pomoc dzieciom polskim w Rosji Sowieckiej, 1 funta na pomoc jeńcom polskim w Niemczech oraz 1 funta na rzecz Walki Podziemnej.

Łączę wyrazy szacunku

"Spadochroniarz"

* * *

Pracownicy wydziału Prac Kulturalno — Oświatowych Min. Obr. Nar. stosownie do decyzji dobrowolnego, stałego opodatkowania przesyłają za miesiąc grudzień £19.12.0 /funtów dziewiętnaście sh. dwanaście/.

W kwocie tej włączona jest suma £1.15.0 złożona zamiast kwiatów na grób ś.p. W. Pikiela.

* * *

Redaktor "Polski Walczącej" składa £1 zamiast życzeń świątecznych i podziękowań indywidualnych za otrzymane życzenia.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze.

Za pośrednictwem pisma WP. przesyłam money order na sumę £12 dwanaście/ jako dar od załogi s/s "Tobruk" dla szeregowych jeńców Wojennych Armii Polskiej w obozach jeńców w Niemczech.

S. Wojas delegat Załogi

* * *

Ochotniczki P.S.W.K. w szpitalu wojennym nr. 1. przesyłają czysty zysk z przedstawienia "Jasełek" £23 /dwadzieścia trzy funty/ na "paczki od serca" dla jeńców wojennych.

* * *

Prezes N.I.K. Tadeusz Tomaszewski wpłaca na jeńców £3 zamiast życzeń świątecznych i noworocznych.

* * *

Szanowny Panie Redaktorze,

Przekazuję kwotę £8.19.6 z prośbą o przesłanie możliwie szybkie 20 paczek papierosowych dla jeńców — saperów przebywających w obozach niemieckich, wedle załączonego wykazu.

Kwota powyższa została zebrana w czasie otwarcia wystawy propagandowej "Poland before September, 1939." zorganizowanej przez Kompanię Saperów m miejscu postoju Dctwa Wojsk w Wielkiej Brytanii.

Oficer Opieki J.B.

* * *

Przekazuję sumę £10 /słownie dziesięć funtów/ na fundusz jeńców polskich w Niemczech jako zadośćuczynienie za znieważenie p.M.S.

K.T.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze Ł79.1.6. — /słownie siedemdziesiąt dziewięć funtów, jeden szyling i sześć pensów/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi sumę ogólną zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do Ł1,835.7.4½ /słownie tysiąc osiemset trzydzieści pięć funtów, cztery i pół pensa/ i 50 milrejsów brazylijskich.

FUNDUSZ WALKI CZYNNEJ Z NAJEŹDŹCĄ

1 funta na fundusz walki czynnej z najeźdźcą

"Spadochroniarz"

NA POLISH RELIEF FUND

Jestem proszony a napisanie listu do Pana Redaktora przez panią Smith. Przesyła ona bowiem za moim pośrednictwem na "Polish Relief Fund" dwa funty /2/.

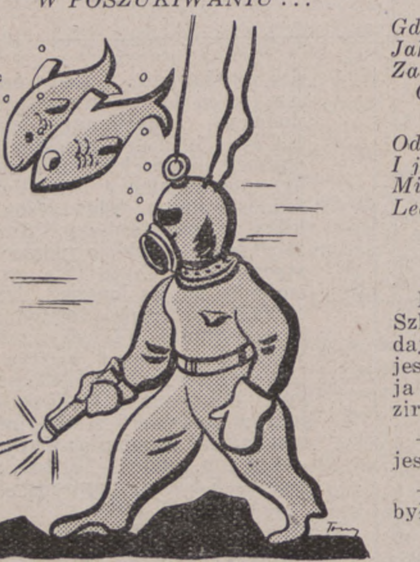
W jej też imieniu proszę o przyjęcie datku. Adres ofiarodawczyni: Mrs. John Smith, "Old Galahouse," Galashields,

por. St. R.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

W POSZUKIWANIU . . .



—Jakiej narodowości jest ten nurek?

—Polak!

—Polak? ? A czego on szuka?

—Karty Atlantyckiej . . .

MIŁOŚĆ I KUPONY

Gdy mówisz do słodkiej dziewczyny,
Jak dawniej to zawsze bywało:—
Za serce Twe dam Ci jedyna,
Cokolwiek zapragniesz!
— Za mało —
Odpowie Ci z miejsca królewna,
I jeśliś jest taki szalony,
Mieć będziesz me serce na pewno,
Lecz najpierw mi pokaż kupony.

P. Kul.

NIEWYSZKOLONY

Młody podchorąży flirtuje ze Szkotką. Po każdym pocałunku zadaje pytania: Przepraszam cię czy jesteś zadowolona? Powiedz mi czy ja to dobrze robię? . . . Po godzinie zirytowana Szkotka odzywa się:

—Stanley, dlaczego ty stale zadajesz mi takie śmieszne pytania?

—Bo ja jestem samoukiem — nie byłem na żadnym kursie . . .

MIŁOŚNIK PSÓW

—Jakie śmieszne są te psy w Szkocji. Nawet nie można odróżnić gdzie taki pies ma przód a gdzie tył.

—Za chwilę poznasz, jak zaszczeka. Tam gdzie szczeka — tam jest przód. . .

"KURSISTA"

—Zdaje mi się, że to ostatni mój kurs w Wielkiej Brytanii. Teraz już mogę iść na front. Mam za sobą kurs — łączności, gazowy, iperytowy, czołgowy, sanitarny, przeciwczołgowy, minowy, teraz ostatni — handlu zagranicznego . . .

W DOBIE WYNALAZKÓW



Niech licho weźmie ten nowy wynalazek — samolot rakietowy! Człowiek nie wie kiedy oberwie odłamkiem rakiety. . . .

JAK SOBIE MAŁY STAŚ WYOBRAŻA:



"Konferowali w najlepszej harmonii . . ."

"CYWIL" CZASU WOJNY

Pan na długo został urlopowany z wojska?

—Tylko do zakończenia wojny. Później momentalnie wracam do służby czynnej . . .

TĘSKNOTA

—Jak się czujesz w cywilu — pyta znajomy Londyńczyka.

—Niedobrze — jednak tęsknię za mundurem.

—Naprawdę?

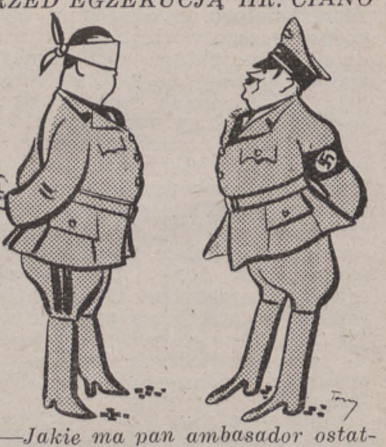
—No tak, w cywilu byłem naczelnikiem straży pożarnej.

TRAFNA ODPOWIEDŹ

—Co to jest sieć telefoniczna?— pyta instruktor w szkole łączności?

—Są to dziury, powiązane sznurami—odpowiada strzelec Ciuciurupa, z zawodu rybak.

PRZED EGZEKUCJĄ HR. CIANO



—Jakie ma pan ambasador ostatnie życzenie?

—Ujrzeć Neapol . . .

Wszystkie osoby mogące dać jakąkolwiek wiadomość o ANTONIM I ANIELI LĘCZNAROWICZ oraz o ich dwu synach—ZBIGNIEWIE i JERZYM, proszeni są o nadsyłanie ich do Adm. P.W. pod kpt. U.K.

Pisma na Śr. Wschodzie i w Indiach proszone są o przedruk.

SPIS RZECZY:

CELEM OMÓWIENIA ZAWODOWYCH SPRAW ADWOKATURY

proszę wszystkich byłych członków organów samorządu adwokackiego o zgłoszenie się pisemnie pod niżej podanym adresem.

Równocześnie proszę o zarejestrowanie się pod tym samym adresem tych wszystkich Kolegów Adwokatów i Aplikantów Adwokackich, którzy znają prawo i język niemiecki.

DR. STANISŁAW CELICHOWSKI,

Podsekretarz Stanu i Członek Wydziału Wykonawczego

N.R.A.

12, GRAFTON STREET, LONDON, W.1.

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO

BUCKINGHAM PALACE MANSIONS, BUCKINGHAM PALACE ROAD, LONDON, S.W.1.

zawiadamia o wydaniu podręcznika

ST. PLEŚNIEWICZ i T. WOJNO

CHEMIA

z mineralogią i geologią

dla 1. kl. liceum ogólnokształcącego, wydział matematyczno-fizyczny i przyrodniczy.

Stron 408. Cena: 7/6.

Do nabycia w polskich księgarniach i kioskach.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.

Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.

Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505' i 5506.

Ukazało się już w sprzedaży

DRUGIE WYDANIE

KALENDARZYKA POLAKA w W. BRYTANII

A. LASKOWSKA

8, Hope Street, Edinburgh

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.